Nr. 8 i 9. Kraków, sierpień i wrzesień 1908. Rok IX.



::PISMO DLA KOBIET::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

W państwie rosyjskiem:

Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

Adam Asnyk.

POBUDKA.

Precz ze zwątpieniem, bo łamie
I męskich pozbawia sił —
Niech targa skrwawione ramię
Łańcuch, co w ciało się wpił.

Precz z małoduszną rozpaczą,
Nie wolno rozpaczać nam!
Niech myśli zuchwale skaczą
Do niebios zamkniętych bram!

Niech biegną jak hufce zbrojne,
I sztandar rozwiną swój,
Niech spieszą na świętą wojnę
Na wielki o prawdę bój.

Niechaj nas klęski nie straszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

Choć jeden za drugim pada
Z czcicieli duchowych zórz,
Choć przemoc, odstępstwo, zdrada
W ich łonie zatapia nóż.

Choć twierdza w gruzy się wali,
Choć płonie nad głową dom —
Nie dajcie zakuci w stali
Przystępu rozpaczy łzom!

Lecz oręż dobrawszy świeży,
W obronie człowieczych praw,
Ostatnia garstko rycerzy
Do końca swe czoło staw!

Duch ludzki wszak nie na wieki
W krwiożerczych zatonął snach,
I szydząc z jutrzni dalekiej
Uwielbił przemoc i strach.

Nie zawsze narodów pycha,
Bezmyślna władania chuć,
Przed siłą ugnie się cicha,
By w oczy ofiarom pluć.

Nie zawsze na cudze chciwa,
Będzie wśród przekleństw i skarg
Kuć drugim kajdan ogniwa,
Aż własny zakuje kark.

Powoli światło się wciska
I dalej posuwa w głąb...
A jak Jerycho w zwaliska
Od dźwięku runęło trąb,

Tak runie w świetlanej zorzy
Więzienia ponury gmach...
I ludzkość oczy otworzy
Po przykrych zbudzona snach.

Więc w naszym krwawym pochodzie
Zwątpienie i rozpacz precz!
Za szczęściem ludzkość w godzie
Uchwyćmy duchowy miecz.

Chociaż nas wrogi opaszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Pomimo zwycięstwa pod Grunwaldem i unii horodelskiej, dalsze lata panowania Władysława Jagiełły były zapełnione ciągłą walką z Krzyżakami, oraz uśmierzaniem niesnasek, wszczynanych przez braci królewskich, a szczególnie przez Witolda, który podżegnany przez cesarza Zygmunta, nie zaprzestawał dążeń do uzyskania królewskiej korony.

W roku 1429. nakłonił Zygmunt króla Władysława do odbycia zjazdu w Łucku, na Wołyniu, pod pozorem omówienia spraw cesarstwa greckiego, wschodniem zwanego, oraz obmyślenia sposobów obrony jego przeciw Turkom.

Cesarstwo to, powstałe ze wschodniej części dawnego państwa rzymskiego, obejmowało kraje dawniej Grecyi, oraz Macedonii. Rozciągało się szeroko, na południe od Węgier i rzeki Dunaju, nad brzegami morza śródziemnego. Potężne niegdyś, teraz osłabłe i rozprężone, niezdolne było do skutecznego oporu przeciw najezdnikom, a zwłaszcza takim, jakimi w owe czasy byli Turcy.

Turcy ci byli narodem bitnym i wojowniczym, przybyłym z głębi środkowej Azyi. Po wojnach krzyżowych, które, jak wiadomo, miały na celu oswobodzenie Palestyny, czyli Ziemi Świętej, z rąk muzułmanów; opanowali Małą Azyę, należącą do państwa greckiego i wojując z niem nieustannie, przerzucili się do europejskich jego posiadłości i tu w zatrważający sposób szerzyli swoje zabory.

Turcy wyznają wiarę muzułmańską, zwaną także mahometańską, od nazwiska Mahometa, Araba, który żył w siódmem stuleciu po narodzeniu Chrystusa i wymyślił tę religię muzułmańską, podając się za proroka natchnionego od Ałłacha, t. j. od Boga. Według prawideł religii Mahometa, tylko mężczyźni mają duszę nieśmiertelną — kobiety nie posiadają jej wcale i istnieją tylko na to, by mężczyznom uprzyjemniać życie! Mężczyźni idą po śmierci albo do piekła, albo do raju. Raj ten składa się z siedmiu oddziałów, w których coraz większa szczęśliwość panuje. Największa jest w siódmym raju, czyli w siódmem niebie. Dopuszczony tutaj Muzułmanin używa wszelkich rozkoszy. Służy mu 72 dziewic wiecznie młodych i pięknych, a on hasa sobie na dzielnych rumakach po ślicznych łąkach i gajach, zabawiając się według upodobania i nie doznając nigdy żadnych przykrych uczuć. Lecz, ażeby dostać się do tego siódmego nieba, musi Muzułmanin walczyć za swoją wiarę, wojować w celu jej rozszerzania i polegać w jej obronie na polu walki. Umierając w ten sposób, chociażby był naj-

większym łotrem, dostaje się wprost do siódmego nieba!

Zaiste, rzecz zastanowienia godna, iż miliony ludzi mogły przez wieki całe wierzyć w podobne bajki i dać się dla nich zabijać. Natomiast dziwnem wcale nie jest, że ci, którzy naprawdę w twierdzenia Mahometa wierzyli, szli w bój z lwią odwagą i walczyli nieustraszenie. Taki głęboko wierzący Muzułmanin, idąc do boju za swoją wiarę, nie miał według przekonania swojego nic do stracenia, a zyskać mógł wszystko, bo szczęście wieczne. Zwyciężył i wyszedł cało z walki, to go czekały łupy bogate i piękne kobiety, które wziął w niewolę. Poległ, to stały mu otworem: siódme niebo i jego szczęśliwości.

Turcy, z czasów Władysława Jagiełły, z natury już bitni i waleczni, byli gorąco i głęboko wierzącymi wyznawcami Mahometa, a temsamem nieustraszonymi wojownikami, niezmiernie groźnymi dla tych, z którymi walczyli. Tem groźniejszymi zaś byli dla cesarstwa wschodniego, gdy ówcześni obrońcy jego nie odznaczali się, ani walecznością, ani animuszem wojennym. Wobec tego obmyślenie obrony tego cesarstwa, które posiadłościami swojemi zasłaniało przed Turkami inne kraje Europy, było nader doniosłem i potrzebnem. To też na zjazd do Łucka przybyli prócz cesarza Zygmunta z żoną i króla Władysława Jagiełły z Witoldem, liczni panowie polscy świeccy i duchowni, z biskupem krakowskim Zbigniewem Oleśnickim na czele, który ongi pod Grunwaldem, jeszcze jako żołnierz i dworzanin królewski, życie królowi ocalił. Przybyli: posłowie grecki i papieski, król duński Eryk VII., kniaź moskiewski Wasyl Wasylewicz, jakoteż pełnomocnicy krzyżackiego Zakonu. Ci jednak z uczestników zjazdu, którzy wierzyli, że będzie się na nim obmyślać sposoby ocalenia cesarstwa greckiego od Turków, zupełnego doznali zawodu — jak powiedzieliśmy już bowiem, nie o Turków chodziło cesarzowi Zygmuntowi, tylko o osobiste zetknięcie się z Witoldem i ostateczne nakłonienie go do stanowczego sięgnięcia po litewską koronę. Jakoż cesarz doprowadził do tego, iż Witold jawnie zażądał przyznania mu tytułu króla litewskiego, a dobrotliwy Jagiełło, nie chcąc dopuścić do rozbicia unii horodelskiej, ponownie ofiarowywał mu odstąpienie polskiej korony. Stanowcze jednak wystąpienie biskupa Oleśnickiego udaremniło usiłowania Zygmunta, który przez ukoronowanie Witolda na króla litewskiego, chciał rozbić jedność Litwy z Polską.

Tak, wrogie dla Polski zamiary spełzły na niczem, a zjad łucki rozszedł się nic nie zdziaławszy.

Wkrótce potem dn. 20. października 1430. roku umarł Witold. Król rządy Litwy powierzył innemu bratu swojemu Świdrygielle, z którym miał także niemało kłopotów.

Na wiosnę roku 1434. wyruszył król Władysław z Krakowa do Halicza, w celu odebrania hołdu od hospodara wołowskiego, który obawiając się Turków, oddał się pod opiekę Polski.

Ówczesna Wołoszczyzna obejmowała teraźniejszą Bukowinę, Besarabię i Rumunię. Rozciągała się z północy na południe, pomiędzy rzeką Dniestrem, a górami siedmiogrodzkiemi, aż do rzeki Dunaju; następnie zaś ciągnęła się od ujścia tej rzeki do Morza Czarnego, wzdłuż północnego jej brzegu, szerokim pasem ze wschodu na zachód. Od północy i wschodu graniczyła z Polską, od zachodu ze Siedmiogrodem, a od południa z Bułgaryą, zagarniętą przez Turków. By ujść losu Bułgaryi, oddawała się w opiekę Polsce.

Na miejsce odebrania hołdu wołoskiego wyznaczył król blizki granicom Wołoszczyzny Halicz. Dążąc do niego, zatrzymał się na nocleg w Medyce. Przecudna księżycowa noc majowa, wywabiła osiemdziesięciosześcioletniego władcę Polski do gaju, z którego zarośli rozlegał się śpiew słowika.

Król Władysław miał umysł poetyczny, odczuwający żywo piękności przyrody. Zasłuchał się w śpiew słowika i zbyt długo,

rozkoszował czarami majowej nocy, nie zważając na jej chłód i wilgoć rosy, które wywołały silne zaziębienie. Wskutek zaziębienia tego, król zachorował ciężko w dalszej drodze i dnia 21. maja 1434. roku umarł po krótkich cierpieniach pode Lwowem w Gródku, który za naszych czasów, na cześć znakomitego władcy, nazwano Gródkiem Jagiellońskim.

Władysław Jagiełło pozostawił Polskę wielką i potężną, granice jej rozpościerały się szeroko. Jej obszar sięgał od granic Śląska na zachodzie, daleko na wschód poza Dniepr i lewo-brzeżne jego dopływy: rzeki Desnę, Worsklę i Samarę; od litewskich wybrzeży Bałtyku na północy, do brzegów Czarnego Morza na południu. Zachodnią część Polski odgradzał jeszcze od morza Bałtyckiego pas ziemi, dzierżonej przez Krzyżaków, pomiędzy Niemnem, a granicą niemiecką, rozciągający się na tej przestrzeni, którą obecnie zajmują tak zwane Prusy wschodnie i zachodnie. Wkrótce jednak i ta zapora po większej części zniknąć miała i otworzyć Polsce swobodny oddech ku morzu, przy ujściu Wisły, królowej rzek naszych.

Według ugody zawartej w r. 1430. pomiędzy królem, a narodem, po śmierci Władysława Jagiełły, miał posiąść koronę polską starszy syn jego, Władysław. Starszy ten syn liczył w r. 1434. dopiero lat jedenaście. Dziecinny wiek następcy tronu wywołał obawy i wątpliwości, czy dobrze będzie dziecko takie uznawać za króla, nie mogąc przewidzieć, jakie później będzie usposobienie jego dla swobód i wolności narodowych. Przemogło przecież zdanie biskupa krakowskiego, kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, nie podzielającego tych obaw i w dniu 29. lipca 1434. roku odbyła się koronacya młodziutkiego Władysława III. Opiekę nad nim i sprawami kraju oddano matce jego, królowej Zofii, oraz kilku przydanym jej do porady senatorom.

Panowanie Władysława III., nazwanego później W a r n e ń c z y k i e m, przyniosło Polsce wiele sławy, lecz nie przyspożyło jej szczęścia.

W roku 1439. uznano młodego króla pełnoletnim i po wykonaniu przez niego przysięgi, na zachowanie praw i swobód narodowych, oddano mu rządy. W tym samym roku Węgrzy, zagrożeni najazdem tureckim, obrali Władysława III. swoim królem, spodziewając się, że przy pomocy Polaków, łatwiej oprą się Turkom.

Król zdał rządy Litwy na młodocianego brata swojego Kazimierza, sprawy Korony zaś, t. j. zachodniej Polski, oddał w ręce kasztelana krakowskiego Jana Czyżowskiego, kardynała Oleśnickiego i Wojciecha Malskiego, poczem w roku 1340. wyruszył do Węgier na czele świetnego orszaku dworzan i licznego zastępu polskich rycerzy.

Umocniwszy się na tronie węgierskim, rozpoczął Władysław w r. 1443. wojnę przeciw Turcyi, zakończoną świetnem zwycięstwem pod Niżem, na granicy serbsko-bułgarskiej. W zwycięstwie tem okrył się młody król chwałą nieustraszonego męstwa, a obok niego zajaśniał znakomity wódz węgierski Jan Hunyady.

Przerażeni Turcy prosili, po raz pierwszy od czasu walk swoich z chrześcijanami, o pokój, który zawarto w Szegedynie na lat dziesięć, pod nader korzystnymi dla Węgier warunkami.

Zawarcie pokoju tego bardzo się niepodobało ówczesnemu papieżowi, Eugeniuszowi IV., który starał się właśnie o utworzenie ligi przeciw Turkom. Wysłany przez niego do Węgier legat, t. j. poseł, kardynał Julian Cezarini, użył wszelkich sposobów namowy, by Władysław zerwał zawarty pokój i na nowo wojnę rozpoczął. Młody król, który uroczystą przysięgą, złożoną na ewangelię, zobowiązał się dotrzymać warunków pokoju, długo się opierał naleganiom kardynała; wreszcie jednak, wobec zapewnień jego, iż przysięga sprzeciwiająca się interesom chrześcijaństwa nie może obowiązywać, oraz że papież uwalnia od niej Węgrów i Władys-

sława, ustąpił i wypowiedziawszy Turkom wojnę, wkroczył do Bułgaryi, na czele zaledwo 19 tysięcy ludzi, liczącego wojska.

Wyprawa z początku była bardzo pomyślną. Wojska węgiersko-polskie w zwycięskim pochodzie opanowały znaczną część Bułgaryi i stanęły nad brzegiem Czarnego Morza, pod Warną.

Tu, dnia 11. listopada 1444. roku, przyszło do walnej rozprawy ze stoma tysiącami Turków. Pomimo tak ogromnej przewagi nieprzyjaciół, z początku zwycięstwo chyliło się na stronę chrześcijan — w końcu jednak przewaga liczebna przemogła i nierówny bój zakończył się straszną ich klęską. Król Władysław III., który walczył i jak wódz znakomity i jak prosty waleczny rycerz, poległ bohaterską śmiercią wraz z całem polskiem i większą częścią węgierskiego rycerstwa. Zaledwo garstkę niedobitków wyprowadził z pogromu Jan Hunyady.

Zacięta odwaga rycerzy chrześcijańskich sprawiła, iż Turcy drogo opłacili zwycięstwo, tak drogo, że na razie nie mogli z niego korzystać. Niemniej klęska warneńska złowrogie skutki pociągła za sobą dla chrześcijaństwa, w pierwszym zaś rzędzie stała się powodem całkowitego upadku państwa greckiego, którego stolicę Konstantynopol zdobyli Turcy w dziewięć lat później, w roku 1453.

Polska także wnet odczuła skutki klęski warneńskiej; Tatarzy bowiem, mieszkający na półwyspie Krymie i na stepach dotykających wschodnich jej granic za Dnieprem, pokrewni Turkom mową i pochodzeniem, połączyli się z nimi i zaczęli napadać na południowo-wschodnie kraje polskie, pustosząc je ogniem i mieczem, nieraz aż po Ruś Czerwoną.

W Polsce długo nie chciano dać wiary żałobnej wieści o śmierci młodego króla. Gdy zaś przekonano się, że wieść ta jest niestety prawdziwą, zaproszono na tron drugiego syna Jagiełłowego, Kazimierza, sprawującego rządy na Litwie.

Młody królewicz znalazł się wobec tego zaproszenia w bardzo przykrem położeniu; wzrósłszy bowiem na Litwie, pod wpływem stronnictwa tamtejszych wielmożów, którzy żałowali dawnych feudalnych czasów i niechętni byli polskim swobodom, polskiej wolności i równości, ukrócających ich dawne przywileje i panowanie nietylko nad ludem, ale i nad bojarami, przemienionymi teraz w wolną szlachtę polską, przylgnąwszy do ich wyobrażeń i dążności, z nieufnością i niechęcią odnosił się do polskich urządzeń społecznych. Położenie jego było tem przykrzejszem, że uważając się za wielkiego księcia litewskiego, pod wpływem tych panów litewskich, poczynił im rozmaite obietnice, których, jako król polski nie mógł dopełnić, bez oburzenia narodu polskiego. Między innemi obiecał im postarać się o przyłączenie do Litwy Wołynia i Podola, które jako dawne dzielnice polskie, po złączeniu się Litwy z Polską, powróciły do Korony, t. j. do zachodniej Polski.

Nie wiedząc jak wybrnąć z tych kłopotów, ociągał się z przyjęciem ofiarowanej mu korony, wymawiając się niepewnością, czy Władysław Warneńczyk rzeczywiście nie żyje. Dopiero, gdy mu zagrożono wybraniem na króla Bolesława, księcia mazowieckiego, zjechał w czerwcu 1447. roku do Krakowa, gdzie go uroczyście ukoronowano.

Mimo to spory o przynależność Wołynia i Podola przez lat kilka jeszcze zakłucały spokój kraju, aż wreszcie zakończyły się uznaniem praw Korony. Odtąd Wołyń i Podole, wraz z Ukrainą, jako województwa: wołyńskie, podolskie, bracławskie, kijowskie i czernichowskie, stanowiły nierozdzielną całość prowincyi mało-polskiej, należącej do Korony.

Tymczasem nad brzegami morza Bałtyckiego, w dzielnicach, zagarniętych ongi i dotąd dzierżonych przez Krzyżaków, zaszły wypadki nader pomyślne dla Polski.

Krzyżacy, którzy zawsze srogo uciskali swoich poddanych, stali się jeszcze sroższymi władcami odkąd, wobec ochrzczenia się Li-

twy i zupełnego zniknięcia pogan, stracili całkiem racyę bytu. Celem ich, jak wiadomo, było nawracanie pogan. Po ochrzczeniu się Litwy i złączeniu jej z Polską, nie było już kogo nawracać. Zakon krzyżacki stał się zupełnie zbytecznym. Co prawda, to on w rzeczywistości nigdy potrzebnym nie był — dopóki jednak graniczył z poganami, to zachodziła chociaż pozorna potrzeba jego istnienia — teraz zupełnie zniknęła. Przy tem dopóki istnieli poganie, mieli Krzyżacy kogo łupić i obdzierać; teraz cały swój wyzysk musieli ograniczyć do własnych poddanych.

Poddani ci składali się z ludu polskiego, zamieszkującego dzielnice, zagarnięte przez Krzyżaków, z resztek mieszkającej tam polskiej szlachty pomorskiej, oraz z mieszczan Niemców i wiejskich osadników niemieckich, posprowadzanych różnymi czasy przez Zakon. Wszyscy ci poddani, którzy nigdy nie cieszyli się swobodą, teraz znaleźli się w okropnem położeniu, wydani na łup rozpasanych, chciwych władzy i bogactw mnichów krzyżackich. Położenie uciśnionych tem straszniejszem się zdawało, gdy tuż obok żyli wolni, cieszący się swobodą i dobrobytem Polacy. To też wszystkie stany, składające ludność podległą Krzyżakom, porozumiawszy się tajnie pomiędzy sobą, wysłały w r. 1454. uroczyste poselstwo na Sejm polski, odbywający się właśnie w Łęczycy i poddały się Polsce, błagając o pomoc i opiekę. Równocześnie we wszystkich dzielnicach, uciskanych przez Krzyżaków, wybuchło powstanie. Sejm i król Kazimierz poddanie się to przyjęli, wskutek czego rozpoczęła się wojna z Krzyżakami, która z rozmaitem szczęściem prowadzona trwała lat dwanaście i zakończyła się zwycięztwem powstańców, oraz pomagającej im Polski.

Krzyżacy dzierżyli wówczas kraj nad morzem Bałtyckiem, ciągnący się długim pasem, ze wschodu na zachód, a zajmujący teraźniejsze Prusy wschodnie i zachodnie, z miastami: Gdańsk, Elbląg, Malborg, Frauenburg, Królewiec i wielu innemi.

Otóż na mocy pokoju zawartego w Toruniu, w r. 1466., Krzyżacy zwrócili Polsce Prusy zachodnie i północno-środkową część wschodnich, czyli tak zwaną Warmię, a zatrzymali tylko część wschodnią i południową Prus wschodnich i to jako własność Polski, oddaną im tylko w lenno, t. j. w czasowe posiadanie pod zwierzchnictwem Polski. Krzyżacy uznali się za poddanych Polski, z obowiązkiem składania hołdu przez ich Wielkiego Mistrza królowi polskiemu i spieszenia Polsce ze zbrojną pomocą, na każde wezwanie. Odtąd Prusy zachodnie zwane nadal Prusami królewskiemi, jakoteż Warmia, stały się nieodłączną częścią Polski, a w szczególności częścią składową prowincyi wielkopolskiej, jako województwa: Chełmińskie, Malborskie i Pomorskie, przyczem Warmię przyłączono do województwa Malborskiego.

Tak powróciły do Polski dawne jej nadbałtyckie dzielnice. Przy Krzyżakach pozostała tylko część kraju, zdobytego niegdyś przez nich na Prusakach, których Krzyżacy w czasie swojego dwóchsetletniego przeszło panowania całkiem prawie wytępili. Pozostawienie Krzyżaków tutaj było bardzo wielkim błędem. Przeniewierczy ten i krwiożerczy Zakon, będący hańbą tak rycerskiego, jak i zakonnego stanu, należało zupełnie usunąć, a pozostawiony im kraj, jako dawną litewską dzielnicę z Polską połączyć. Popełniony wówczas błąd przyniósł Polsce później klęsk niemało i stawszy się pierwszym powodem powstania teraźniejszego królestwa pruskiego, wciąż je przynosi.

Nie był to jedyny błąd, popełniony przez Kazimierza IV., zwanego zwykle Jagiellończykiem, mimoto czterdziestopięcio-letnie jego panowanie, do najszczęśliwszych w dziejach Polski należy. Polska rozpostarta szeroko, o dwa morza oparta, nie licząc paru-krotnych, zwycięzko odpartych napadów tatarskich na dzielnice południowo-wschodnie, używała wewnątrz spokoju i pomyślności. Panowały w niej dobrobyt i swoboda.

Król Kazimierz IV. chociaż nie zbyt pracowity i lubiący zabawiać się polowaniem, nie zaniedbywał przecież spraw publicznych i starał się o ich uporządkowanie. Za jego rządów uporządkowano sposób obrad sejmowych. Od roku 1468. począwszy, utworzono dwie izby sejmowe: senatorską, złożoną z biskupów, wojewodów i kasztelanów, oraz poselską, składającą się z posłów wybieranych przez województwa i samoistne ziemie, jakoteż przez znaczniejsze miasta.

Bez zezwolenia i uchwały izb tych, sejm składających, nic się ważniejszego w życiu publicznem Polski dziać nie mogło. One stanowiły prawa, zezwalały na ściąganie niezbędnych podatków, nakładanych zresztą tylko w wyjątkowych wypadkach, one stanowiły w sprawach wojny i pokoju.

Tak 440. lat temu rządziła się Polska w taki sam sposób, jak teraźniejsze konstytucyjne państwa!

Wobec tego nie dziw, iż garnęły się do niej inne narody i rade były mieć władców z Jagiellońskiej rodziny. Nie dziw również, że wśród pomyślności i swobody rozwijały się nauki i oświata, że zajaśnieli w narodzie naszym tacy uczeni, jak Jan Długosz, znakomity historyk, nauczyciel synów królewskich, Marcin z Olkusza, lekarz i astronom, Wojciech Brudzewski, słynny matematyk i wielu, wielu innych.

Król Kazimierz IV., ożeniony z córką cesarza Albrechta Elżbietą, był bardzo dobrym i rozumnym ojcem i mężem. Pod troskliwą opieką królowej, wzrastało grono pięknych córek i sześciu synów. Wykształceniem synów kierował wspomniany wyżej uczony, Jan Długosz, wytrawny nauczyciel i wychowawca. To też wszyscy wychowańcy przynieśli mu zaszczyt prawdziwy. Najstarszy ze synów królewskich, Władysław, obrany w r. 1471. królem czeskim, a następnie, w lat dziewiętnaście później także i węgierskim, władał szczęśliwie berłem dwóch narodów, Czechów i Madjarów. Drugi z kolei Kazimierz, młodzieniec niewinny i świątobliwy, gardzący sprawami tego świata, zmarł w 24-tym roku życia i uznany za świętego, powiększył zastęp świętych patronów Polski. Trzej następni: Jan Olbracht, Aleksander i Zygmunt, zasiedli po zgonie ojca, kolejno na tronie polskim. Wreszcie najmłodszy Fryderyk, poświęciwszy się stanowi duchownemu, zasłużył się ojczyźnie, jako kardynał, arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski.

Córki mniej świetny los spotkał. Powychodziły za mąż za rozmaitych niemieckich i innych zagranicznych książąt.

Kazimierz IV. Jagiellończyk, ojciec tylu królów, zmarł w Trokach, na Litwie, w 1492. roku. W roku odkrycia Ameryki, od którego zwykło się liczyć początek nowoczesnych dziejów. *Inż. Eustachy Śmiałowski.*

TALIZMAN.

LEGENDA.

Było to na dwa tysiące lat przed Chrystusem. W Afryce, nad brzegiem Nilu, wznosiły się mury olbrzymiego miasta, zwanego Teby, które wspaniałością, bogactwem i przemysłem olśniewało współczesnych. Ruiny tej stolicy starożytnego Egiptu do dziś dnia sterczą wśród piasków pustyni i w podziw wprawiają ogromem murów, kolumn i figur, zwanych sfinksami.

Dziś wydaje się, że takie budowle mogli wznosić chyba olbrzymy, gdyż zwykły człowiek nie podołałby temu. A jednak ludzie je wznosili, wznosiły ręce biednych niewolników, przypędzonych tu z odległych krain Azyi i Europy.

Faraonowie, potężni władcy Egiptu, podbiwszy którąkolwiek z ościennych krain, zabierali najsilniejszych jej mieszkańców w niewolę i na całe życie zaprzęgali do robót ciężkich i niebezpiecznych. Z biblii wiadomo jak gnębili Hebrajczyków, gdy ci przy-

padkowo zmuszeni byli szukać w głębi ich państwa przytułku. Tuż za Tebami leżał olbrzymi plac, otoczony dokoła murem i strażami. Na placu tym' dzień i noc wrzało życie, zgiełk i hałas.. Codzień żołnierze królewscy przypędzali tu tłumy skrępowanych niewolników, których ziemię spustoszyli ogniem i mieczem. Szli więc z pochylonemi głowami ci nieszczęśliwi — bez nadziei ratunku, z jękiem na ustach, z rozpaczą w sercu. Byli pomiędzy nimi i o białych obliczach Europejczycy, mieszkańcy szczęśliwych wysp greckiego Archipelagu, i Murzyni o czarnej cerze z głębin niezbadanej Afryki, i Arabowie z piaszczystych równin Azyi, o twarzy śniadej i oczach ognistych. Wszyscy oni z kolei przystawali przed wielkorządcą królewskim i w milczeniu słuchali wyroku jego. Ten, siedząc na wzniesieniu, otoczony zbrojną świtą, naznaczał pracę każdemu oddziałowi z osobna.

— Wy, Murzyni – rzekł do stojących przed nim ludzi o cerze czarnej, których straż czujna otaczała dokoła, — wy będziecie znosili i ciosali kamienie na nowe piramidy, któreby przewyższyły wszystkie, jakie dotąd istnieją w krainie wielkiego Faraona. Jeśli po upływie roku zbudujecie ich pięć i władca nasz uzna je za godne dla siebie i za życia poleci nam, abyśmy po śmierci ciało jego zabalsamowane w nich złożyli, wtedy uwolnieni będziecie... Skończyłem, odejdźcie...

Stłumione przekleństwa i zgrzyt zębów był odpowiedzią na ten rozkaz.

— To znaczy, że całe życie wśród trudów niesłychanych spędzić tu mamy, bo czyż za rok można będzie wznieść takie olbrzymie budowle? Nigdy!

— Spróbujmy! — rzekł stary Negr, — weźmy się jednomyślnie do pracy, a kto wie, czy pracując dniem i nocą, nie podołamy zadaniu...

— Przekleństwo ci! – rzekł inny, – chcesz, abyśmy z wysiłku pomarli... Czyż są gdzie takie siły, któreby ten rozkaz wykonały?...

— To śmierć pewna! – dodał inny, – podstęp, aby przyspieszyć nasz koniec!...

— Nie będę pracował, chyba zmuszony!... — odgrażał się jakiś młody murzyn o szerokich potężnych ramionach.

— Ale ja będę! – zawołał jego młodszy towarzysz; — kto wie, może przy wspólnej pracu podołamy zadaniu?..

— To pracuj! Co do mnie — nie głupim...

— Ani ja.

— I ja też nie.

Westchnął stary murzyn i smutnie głowę na piersi zwiesił.

— Biada nam! — szeptał, gdy ich straż zbrojna na miejsce przeznaczone do trudów odprowadzała.

Przed wielkorządcą stanął tłum niewolników w białych zawojach, o twarzy śniadej. Byli to Persowie.

— Wy mieszkańcy Azyi, — rzekł do nich dostojnik, – uwolnieni będziecie za rok, jeśli przekopiecie kanał od miasta do Nilu tak szeroki i głęboki, ażeby nigdy w nim wody nie zabrakło. Ni piaski pustyni, ni wichry gorące, ni dzikie zwierzęta wstrzymać was w tem nie powinny.

Słysząc to Persowie i Arabowie, kłócić się między sobą z rozpaczy poczęli, gdyż część ich tylko do dzieła zabrać się była gotowa; inni stracili nadzieję i postanowili tyle tylko robić, ile dozorcy na nich wymogą.

Niepodobieństwo to, - mówili — przekopać kanał przez piaski pustyni. Wieków czasu na to, a nie jednego roku potrzeba.

— A jednak spróbować nie zawadzi... — radzili starsi, — wziąwszy się zgodnie do dzieła, kto wie, czy kanału nie przekopiemy?...

— Na nic to! — odrzekli wątpiąco młodzi.

Próżne marzenia!.. — dodali inni.

Straż prowadzi ich na miejsce przeznaczenia.

Z kolei przed wielkorządcą stanęli Europejczycy. Blade ich oblicza, pełne rozpaczy oczy i omdlewające ruchy budziły litość. Wieleż to cierpień ci biedacy przeszli, wiele katuszy znieśli?...

Spojrzał na nich dostojnik starożytnego Egiptu i rzekł:

Dla was, ludzie o białej twarzy, najmozolniejsze zadanie wypadło. Oto kupcy feniccy zmieszali sto wozów ziarn pszenicy, z tyluż wozami ziarn żyta. Stało się to przez omyłkę, gdyż ludzie nasi w ciemnościach nocy sądzili. że na wozach pszenica tylko się znajduje. Otóż wy przez rok niewoli oddzielicie napowrót ziarna żyta od ziarn pszenicy, a jeżeli w jednem jak i w drugim zbożu nie znajdziemy ani jednego obcego ziarnka, jeśli po jednej stronie będzie czysta pszenica, a po drugiej żyto, możecie dziękować swojemu Bogu, gdyż dni niewoli waszej będą skończone.

Szmer niezadowolenia przebiegł wśród zbitej masy Europejczyków. Kiedyż oni pracę taką skończą?... Ależ to wieki całe trwać może!

— Zguba nad nami zawisła pewna, nieunikniona! – jęczeli młodsi.

— To wyrok śmierci! — wołali inni.

— Daj nam inną pracę! — krzyczeli śmielsi, zwracając oczy, gdzie siedział nieruchomie wielkorządca.

W miejsce odpowiedzi żołnierze wyprowadzili ten tłum zrozpaczony na miejsce przeznaczone.

Gdy szli wyrzekając, siwowłosy starzec rzekł głosem donośnym:

— Uciszcie się nieopatrzni!...

Cisza zapanowała nagle; wszyscy znali i szanowali mądrego starca.

— Ja wam radę dam, a że zbawienną, za to ręczę; lecz czy wypełnicie ją zgodnie, bez waśni?

— O tak wypełnimy! mów tylko mów!

— Mam talizman, cudowny środek, — odrzekł starzec. — Jeśli mnie bez oporu najmniejszego przez rok słuchać będziecie, z pomocą tego cudownego talizmu, dokonamy dzieła, które przedsięwziąć nam kazano. Czy przyrzekacie posłuszeństwo?...

— Przyrzekamy i przysięgamy! Uwolnij nas tylko z rąk Egipcyan! – wołali.

— A więc – rzekł starzec – umowa między nami zawarta. Talizman działać zaczyna.

I starzec bez najmniejszej straty czasu jął się pracy, a za nim wszyscy, jak jeden mąż, z gorliwością wielką poczęli oddzielać ziarnka pszenicy od ziarnek żyta.

Wschodziło i zachodziło słońce, zmieniały się gwiazdy na niebie, złoty księżyc odmieniał co miesiąc kształt swej tarczy okrągłej, a Europejczycy pracowali zgodnie, wytrwale, z zapałem. Nareszcie, gdy trzysta sześćdziesiąt pięć razy nad strudzonemi głowami pracowników weszło i zaszło słońce, wielkorządca otoczony świtą przybył dotrzymać tego, co był przed rokiem przyrzekł.

Najpierw Murzynów odwiedził, lecz krótko tam bawił, gdyz kłócili się oni i wyrzekali, mało dbając o rozpoczęte dzieło. Piramidy nawet do połowy nie były wykończone.

— Zostańcie tu na całe życie, – rzekł do nich dostojnik i udał się do Persów i Arabów.

Ci również jak Murzyni narzekali i kłócili się, kanał zaś zaledwie w trzeciej części był wykończony.

Taki też wyrok spotkał ich, jak poprzednich.

Nareszcie wielkorządca zbliżył się do Europejczyków.

Ci stali ze spokojnemi obliczami przy dwóch olbrzymich kopcach zboża, mając na czele siwowłosego starca.

— Skończyliście swą pracę? – zapytał dostojnik.

— Tak, panie! – odrzekł starzec. – Oto na jednej stronie czyste żyto, a na drugiej pszenica.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy Egipcyanina.

— Jesteście wolni! — wyrzekł, sprawdziwszy, że praca wykonaną była dokładnie.

Okrzyk radości był odpowiedzią na te słowa. Niewymowna radość opanowała strudzonych pracowników.

— Niech żyje starzec! — krzyczeli. — Niech żyje posiadacz cudownego talizmanu. Takich jak on mało na świecie!...

— Mylicie się, — odrzekł starzec, — talizman, o którym wspominacie, nie tylko ja, ale i każdy z was posiadać może.

Zdziwieni współziomkowie zamilkli i niedowierzająco spoglądali po sobie.

— Jakiż to? — pytali.

— Zgoda oraz rozumna i wytrwała praca.

Stefan Gębarski.

O czem zapominają nasze spółki współdzielcze?

(Dokończenie)

Jeżeli uważnie obejrzymy się wkoło, to wszędzie i na każdym kroku spostrzeżemy objawy i skutki współzawodnictwa: widzimy je pomiędzy wytwórami, którzy, aby mieć pierwszeństwo przed współzawodnikiem nie wahają się nawet fałszować płodów ze szkodą milionów spożywców; widzimy dalej współzawodnictwo między rzemieślnikami jednego zawodu, którzy też nie wybierają sposobów, aby tylko odbić na swoją korzyść zamówienia odbiorców; widzimy też współzawodnictwo pomiędzy robotnikami, którzy zmorzeni głodem, by dostać pracę, obniżają częstokroć zarobki poniżej najmniejszy możności ludzkiego istnienia i t. d. i t. d.

Czy wiecie, jakim sposobem uczony francuski Fourier stał się jednym z pierwszych zwolenników współdzielczości?

Otóż pracując jako subjekt u pewnego bogatego przedsiębiorcy, zmuszony był pewnego razu przez swego pryncypała do przypilnowania wrzucenia w morze 20.000 cetnar. ryżu.

A wtedy właśnie srożył się głód we Francyi, to jest był ogólny brak środków żywności. Dlaczego więc ów przedsiębiorca postąpił w sposób niezgodny z interesami ogółu?

Chodziło mu o to, że czem mniej będzie wytworów spożywczych na rynku, tem więcej zarobić na nich będzie można.

Potworny ten czyn otworzył właśnie oczy Fourierowi na sprzeczność interesów spożywców i przedsiębiorców i na moralność tych ostatnich.

Otóż właściwym celem spółek jest zamienić współzawodnictwo w współdziałanie, które zaczynamy najsampierw w czyn wprowadzać w nielicznych spółkach, te ostatnie jednak z czasem mogą się tak rozrosnąć, że obejmą świat cały.

Właśnie dlatego, iż zasada przewodnia spółek jest nie współzawodnictwo, ale wzajemna wspólna praca i pomoc, czyli współdziałanie, zrzeszenia takie zostały nazwane „współdzielczemi“, lub z łacińska „kooperatywnemi“; pierwszym ich krokiem są t. zw. spółki spożywcze, zwane u nas także kółkami rolniczemi. Działalność spółki spożywczej zasadza się w obfitem nabywaniu przedmiotów prosto, ile możności, z pierwszej ręki, to jest bez pośrednictwa handlarzy czyli kupców. Innym razem zastanowimy się nad tem, dlaczego obywanie się bez pośredników handlowych ma ważne znaczenie społeczne poza korzyściami materyalnemi.

Lecz każda spółka powinna dążyć do tego, by przemienić się w spółkę wytwórczą, a to dlatego: dziś, jak wiemy, pojedynczy człowiek nie może po większej części sam zaopatrzyć się w narzędzia potrzebne mu do pracy — musi więc wejść w umowę z fabrykantem, który daje narzędzia, ale jako silniejszy, dyktuje mu swoje warunki. Robotnik tym sposobem traci to, co ma najdroższego, t. j. swoją wolność.

Ale co dla jednego człowieka jest niedościgniętem, to jest możliwe dla gromady ludzi, to jest spółki. Cel więc, do którego spółki dążyć winny, jest, aby wytwórczość wziąć w swoje ręce, a przez to zrobić pracowników zarazem swymi własnymi pracodawcami, to jest ludźmi, niezależnymi od nikogo.

To samo tyczy się drobnych gospodarstw rolnych; pojedynczy gospodarz nie jest w stanie zaopatrzyć się w nowoczesne narzędzia. bez których ziemia ledwo na wyżywienie wystarcza i gospodarz mniej lub więcej musi stać się zależnym od wielkich właścicieli.

Wolność i niezależność przynosi drobnemu rolnikowi znów spółka.

Może kiedyindziej rozpiszę się nad rzeczami, dla których brak już dziś miejsca, jeśliby jednak kto z czytelników zapragnął bliżej się z tą sprawą poznać, to oprócz zastanowienia się głębokiego nad otaczającymi nas stosunkami, mogę poradzić przeczytanie książeczki Bancela pod tytułem „Kooperatyzm“, wydanej przez biblioteczkę „Społem“, która zawiera też i parę innych ciekawych książeczek. Biblioteczka ta, jakoteż i dwutygodnik, pod tytułem „Społem“, poświęcony sprawom kooperacyi, powinien znajdować się w bibliotece każdej spółki. Za złotówkę można też dostać książeczkę, przeznaczoną dla młodzieży, p. t. „Ruch współdzielczy“ przez Izę Nicholson, przetłomaczoną z angielskiego; w Anglii bowiem, gdzie na każdych sześciu ludzi jeden należy do zrzeszeń, rodzice dbają, by dzieci ich za młodu już się z zasadą współdzielczości zaznajamiali.

Nim jednak dzisiaj skończę, chcę dodać jeszcze jedno: dziś jest już na szczęście wielu ludzi, których niesprawiedliwość dzisiejszego ustroju społecznego przejmuje zgrozą i oburzeniem, ale każdy z nich myśli: „Co ja biedny robociarz, albo biedny włościanin mogę na to poradzić?“.

Otóż, bracie, jeżeli zrozumiałeś to moje pisanie, to wiesz teraz, że myśląc tak, nie miałeś racyi. Każdy człowiek, choć niezamożny i bez wpływów, przez to, że należy do spółki współdzielczej, uczciwie przykłada rękę do wielkiego dzieła — wyzwolenia ludzkości z jarzma kapitalizmu!

A ponieważ jest to wróg potężny i wspólny, to społem i zgodnie należy z nim walczyć.

Dlatego o ludziach, którzy dla jakichś tam waśni partyjnych zatruwają ideę spółki, tworząc — jak to jest np. w Nałęczowie, Łodzi i t. d. – dwie wzajemnie szkodzące sobie spółki: socyalistów i demokratów, nie można znowu powiedzieć inaczej jak to: „że patrzą jeśli nie w tył, to tylko pod swoje nogi!“

Marya Ursetti.

KWIATY.

Rzucajmy piękna siew!
Niech wschodzą kwiaty,
Jak cudnych marzeń rój,
Lekki, skrzydlaty

Za kwiatem przyjdzie nam
I owoc boży,
I urok piękna sam
Dobro wytworzy.

Cóż kwiatek? — barwny puch,
Oczu ułuda...
Lecz w pięknie żyje duch,
Co tworzy cuda.

Zaprawdę! życia ten
Nie strwonił marnie,
Kto kwiecie swoich niw
Z miłością garnie...

I w ludów wiosny dzień
Stanie ten śmiało,
Kto rzucił ziemi swej,
Choć różę białą...

Marya Konopnicka.

Włoskie nabożeństwo.

Obrządki kościelne w głównych podstawach są jednakowe na całym katolickim świecie, w szczegółach jednak, w drobiazgach — różnią się i w każdym kraju, względnie nawet okolicy, na mocy przyjętego zwyczaju, zachodzą pewne zmiany, nadające szczegółową cechę naożeństwu.

Jeżeli czytelniczki nasze ciekawe, jak się odprawia nabożeństwo u Włochów, proszę posłuchać opowiadania o nabożeństwie włoskiem na wysepce Grado, zamieszkanej przez Włochów, choć wysepka jest pod panowaniem austryackiem.

Kościół na Grado jest wielki, starożytny, o 3 nawach, w bazylikowym stylu, wybudowany w VI. wieku po narodzeniu Chrystusa. Nosi tytuł katedry, bo na Grado było kiedyś biskupstwo, do którego i Wenecya należała, tutaj też mieszkał dawniej patryarcha wenecki.

Jest jeszcze w absydzie kościelnej, poza wielkim ołtarzem, kamienny, rzeźbiony tron patryarchy, obecnie zniszczony.

W wielkim ołtarzu na srebrnej pozłacanej blasze, wytłaczane obrazy weneckiej roboty z 1372 r. Boczne dwa ołtarze piękne, marmurowe, ale już nowszej roboty, inne ołtarzy drewniane, bardzo skromne.

Wspaniała jest kazalnica kamienna, rzeźbiona, w stylu romańskim, z maurytańskim kamiennym baldachimem z XIII. wieku.

Podłoga granitowa, miejscami zachowane jeszcze resztki dawnej, kunsztownej, weneckiej mozaiki.

Kościół może pomieścić do 4 tysięcy ludzi. Ławek dużo, więc wszyscy dorośli (prawie sami rybacy) siedzą w ławkach a dzieci sadowią się wygodnie na ładnej, chłodnej posadzce, bose nóżki wyciągają przed siebie, dziewczynki po jednej stronie, chłopcy po drugiej. Dzieci te zaledwie trochę odziane, o ciemno brązowej, z czarniawym odcieniem cerze z wielkiemi, czarnemi oczami, robią wrażenie małych, nadzwyczaj ruchliwych dyabełków, są jednak przeważnie ładne, a niektóre miłe mają twarzyczki.

Przed zaczęciem nabożeństwa wnosi ksiądz kielich nakryty i ustawia na stoliku dość daleko od ołtarza, jednocześnie chłopiec wnosi mszał i też na boku go składa.

Gdy ksiądz wchodzi do kościoła, wszyscy wstają i stoją póki nie przejdzie. Powtarza się to, ile razy ksiądz się pokaże, choćby wchodził od ulicy z kapeluszem w ręku.

Usługuje do mszy 12 chłopaczków, ubranych w długie, do ziemi, jakby księże sutanny i białe, bardzo krótkie, ledwie, pasa sięgające koszulki.

Odzywa się dzwonek przy zakrystyi, wszyscy wstają, ksiądz w albie idzie przed ołtarz, intonuje pieśń, którą natychmiast pochwytują zebrani w kościele i śpiewają jednogłośnie przez cały czas kropienia wodą.

Ksiądz idzie szybko, ostrym krokiem, kropi nie takiem kropidłem, jak u nas, ale małym, srebrnym przyrządem, wyglądającym, jak grzechotka dziecinna, tylko na nieco dłuższej rączce osadzona, główka tego kropidła jest gęsto a drobniutko dziurkowana.

Ksiądz, co krok zrobi, nabiera wody w owo kropidło i pryska bardzo obficie na zebranych wiernych, co przy tutejszych upałach może jest pożądane, bo wszyscy robią zadowolone i uśmiechnięte miny, gdy na ich twarze i głowy woda spadnie.

Ksiądz wychodzi do zakrystyi, wszyscy siadają, wraca w ornacie, wszyscy wstają. Asystuje mu dwóch księży. Śpiewa ksiądz pięknie, dźwięcznym głosem, ale odpowiadają mu nie chłopcy usługujący do mszy, nie organista na chórze, ale wszysby zebrani w kościele. Po *Gloria* księża siadają na przygotowanych, wspaniałych krzesłach, opuszczają ręce na kolana i siedzą bez ruchu przez pewien przeciąg czasu a ludzie w kościele śpiewają pieśń. I to nie tak, jak u nas, gdzie śpiewają z chóru śpiewacy, lub śpiewaczki przy jednoczesnym akompaniamencie organów, tutaj organy zagrywają przegrywkę, po skończeniu której, dopiero wszyscy zebrani zaczynają śpiewać i śpiewają wszyscy bez wyjątku, młodzi, starcy, dzieci. Co prześpiewają jedną zwrotkę przestają, a organy przegrywają i znów organy milkną, a pieśń na cały kościół się zaczyna.

Melodya tych pieśni, nie mająca nawet zbliżonego podobieństwa do żadnej z naszych pieśni, jest bardzo uroczysta, robi wrażenie śpiewanego psalmu, natomiast przegrywki na organach są tak wesołe i skoczne, że prawie można się nie dziwić paru małym chłopaczkom, którzy zaczęli wyskakiwać na środku kościoła, za co zostali skarceni przez zakrystyjana.

Zakrystyan, ubrany w granatową sutannę, z czerwoną naszywaną złotem peleryną, prze-

pasany pasem również czerwonym ze złotem, przez cały ciąg nabożeństwa zbiera składkę. Chodzi po kościele z woreczkiem osadzonym na bardzo długim kiju, którym bije każdego zachowującego się niewłaściwie, np. gdy nie wstanie, jak ksiądz przechodzi. Zwłaszcza ciągle robi porządek z dziećmi, które siedząc na podłodze, zaczynają się coraz wygodniej rozkładać, bawić, rozmawiać, a nawet bić i szczypać, niektóre wygodnie zasypiają. Zakrystyan niesforne uderza, śpiące budzi, bardzo rozespane, zwłaszcza małe, wynosi na rękach z kościoła, układa w cieniu pod filarami na zewnątrz kościoła. Wraca i znów w dalszym ciągu zbiera składkę, od miejsca gdzie przerwał. Co obejdzie cały kościół, wysypuje pieniądze z woreczka do jednej z puszek umieszczonych w widocznem miejscu w pobliżu wielkiego ołtarza, za każdym razem do innej. Puszki te noszą napisy: „Na kościół“, „Na wdowy i sieroty po utopionych rybakach“, „Na leczenie dla biednych dzieci“, „Za dusze w czyścu“. Pieniądze dają wszyscy, a są tacy (rybacy), którzy dają za każdem przejściem zakrystyana.

Przed ewangelią dzwonią, jako znak, żeby wszyscy wstawali, co jest potrzebne, gdyż znaczna część ludzi siedzi, lub stoi tyłem do ołtarza, a tylko zapatrzeni w organy i wsłuchani w pieśń przez siebie i innych śpiewaną.

Ewangelii nie czyta ksiądz przy ołtarzu, ale jeden z asystujących księży wchodzi na ambonę, drugi za nim niesie mszał, chłopcy z wielkiemi świecami ustawiają się wkoło ambony, świece trzymają wysoko po nad głowami i z ambony śpiewa ksiądz ewangelię. Po skończeniu wraca do ołtarza, drugi niesie mszał, daje do pocałowania księdzu celebrującemu, poczem ksiądz celebrujący od ołtarza wygłasza kazanie, naturalnie po włosku.

Po *Credo* księża znów siadają na boku i pieśń się zaczyna wraz przegrywkami wesołemi na organach. W pewnych chwilach chłopcy usługujący stają na środku presbiteryum, krzyżują ręce na piersiach i składają głęboki ukłon przed każdym z księży, poczem klękają przed wielkim ołtarzem, pochylają po trzykroć nisko głowy i rozpraszają się po kościele, siadając przeważnie na ziemi po za księżmi. Przed zaczęciem ofiarowania, dają znak dzwonkiem, wszyscy ludzie klękają, księża wracają do ołtarza. Tu już wszystko tak, jak u nas się odbywa.

Ludzie z klęczek nie powstają, aż po komunii, innego rodzaju dzwonieniem, znak im do tego dadzą.

Siadają wszyscy, znów śpiewają. Przed ewangelią znów dzwonkiem wzywają ludzi do powstania. Po mszy tak jak i u nas modlitwa księdza powtarzana przez cały kościół z pewnym dźwięcznym rytmem i skandowaniem.

Potem pieśń, ale nie podobna do naszego „Święty Boże“. Wystawienie Najśw. Sakramentu, ksiądz zaczyna pieśń, przynoszą baldachim, niesie go czterech siwowłosych starców, ubranych w sutanny czerwone, ze złotem. Ksiądz schodzi z Hostyą św., prowadzą go asystujący księża, przed nim idą chłopcy z poczwórnemi świecami, przed chłopcami zakrystyan robi miejsce.

Księża, chłopcy i zakrystyan, śpiewają i obchodzą (wewnątrz) cały kościół, ale nikt nie śpiewa. Gdy wychodzi z kościoła, wszyscy wstają i stoją póki nie zniknie w drzwiach zakrystyi, dopiero gromadnie zaczynają wychodzić.

Jednocześnie organy zagrywają skoczną melodyę i grają póki wszyscy lub prawie wszyscy nie wyjdą z kościoła.

Gdy tylko jeden ksiądz odprawia nabożeństwo, czyta ewangelię przy ołtarzu i kazanie ten sam mówi również przy ołtarzu.

Cicha msza odprawia się bez różnicy, tak jak u nas. *K. P.*

List trzeci „O godności pracy“.

List dzisiejszy odbiega formą od poprzednich, bo jest rozmową powtórzoną, a nie rozmową „naszą“, t. j. moją z Wami, Drogie Czytelniczki. Rozmowa, którą tu powtarzam, odbywała się w wagonie. Jechał wieśniak z synem do miasta, bo chłopak uczył się dobrze i w ojcu urosła chęć oddania go do gimnazyum – jechało kilka osób różnych zajęć, a więc, jak się później okazało, był wśród nich właściciel sklepiku, tokarz z fabryki maszyn, była przekupka, był pan w okularach (urzędnik, a może profesor?) i wreszcie ja.

Z początku milczeliśmy wszyscy, ale ciekawość przekupki rozwiązała nam języki. Każdego dopytywała gdzie jedzie i po co? A skąd? Wkrótce też poznaliśmy się o tyle, że wiedliśmy dalej, zaczętą tak obcesowo, rozmowę. Do ożywienia jej przyczynił się student, który wsunął się do wagonu ostatni i na pytania przekupki:

— A pan młody do szkoły? Do zapisu? prawda?

Odpowiedział:

— Kto jestem? Niewiadomo!

Gdzie dążę? Zgoła nie zgadnę!

W tem pociąg ruszył, a student krzyknął:

— Ciekawe żeńskie *homo*, *)

Zrób miejsce, bo upadnę!

Uśmiechnęliśmy się do wesołego chłopca, nie wyłączając przekupki, jakkolwiek czuła się trochę obrażona wyrazem *homo*.

— Co to pan powiedział na mnie? — Dopytywała studenta.

— Niewiasto! Przezwałem cię człowiekiem.

Przekupka obruszyła się nie na żarty i zwymyślała młodzieniaszka od mądralów.

Wtenczas ujęliśmy się prawie wszyscy za dowcipnisiem. Pan w okularach i ja, uśmiechem wyrażaliśmy dla jego humoru pobłażanie. Inni bronili go słowami.

— A pani co? — Odezwał się pierwszy tokarz. — Przecie pani człowiek? Nie?

— Jak Boga kocham! — śmiał się sklepikarz.

— Człowiek, nie człowiek, a wypominać mi to komu wara! — Gniewała się kobieta.

— Jużci — odezwał się z kąta chłop — człowiek, to jest człowiek. Świentość! Obraz na podobieństwo boskie. Wiency nie ma co gadać.

— Ot co! — Wykrzyknęła rozpromieniona przekupka i zwróciła się ku wieśniakowi.

A i my wszyscy spojrzeliśmy w jego stronę.

Wieśniak postawił odrazu sprawę tak, że nie było co gadać. Odczuliśmy, że wyraz człowiek, nie może nigdy być pogardliwem przezwiskiem, że nawet żartobliwie użyty ukrywa godność naszą pod osłoną żartu.

Kiedy wypowiedziałem to zdanie głośno, obrażona przez studenta „niewiasta-człowiek“ udobruchała się zupełnie i wyglądała znowu uprzejmie, jak poprzednio. Wątek rozmowy podchwycił tym razem sklepikarz:

— Prawda i to, że człowiek bywa różny, lepszy, gorszy i całkiem ladajaki, ale hm — hm.

Teraz odezwał się pan w okularach.

— Ojciec — mówił wskazując głową na wieśniaka — powiedział prawdę niewzruszoną, taką, na której zasadza się rozwój człowieka w kierunku szlachetnym. Człowiek może być coraz lepszy i mądrzejszy, powinien być coraz lepszy i mądrzejszy. To jest prawda, to nie wymysł. I to jest prawda dla nas wszystkich jedna: i dla tej pani, co się obraziła, i dla tego młodzieńca, co ją niechcący obraził, i dla mnie, i dla tego malca, co go ojciec do szkoły wiezie. Tylko, chociaż prawda ta, wszystkich was obowiązuje, nie wszyscy ją spełniamy.

Przekupka wzdychała, jak podczas kazania, a chłop odezwał się swoim ciężkim twardym głosem:

— A bo innemu słowo furka wedle usu, niekiej ptasek, a drugiemu zaś nie w duszy, nikiej ziarno.

*) *Homo*, znaczy człowiek po łacinie.

Pan w okularach, aż podskoczył na ławce.

— Właśnie! Właśnie! — zawołał. — A wiecie wy, ojcze, że jeśli my, Polacy, chcemy być, jako dawniej, u siebie, w swojej Ojczyźnie niepodzielonej, pod jednym, własnym, polskim rządem, to musimy odnaleźć takie słowa, co nam wszystkim jednako w duszy będą brzmiały, które wszyscy jednako zrozumiemy, jednako ukochamy i jednako wypełnimy

Widziałem, że oczy studenta zabłysnęły żywo, jakby światło utajone nagle w nich zapłonęło, że tokarz uśmiecha się niewyraźnie, a lekceważąco, widziałem po wytrzeszczonych oczach przekupki, że nie rozumie ani słowa, po sklepikarzu, że nadrabia miną, ale nie wie, co myśleć! Wieśniak siedział, jak przedtem pozornie obojętny.

— Oto — pomyślałem — słowa furkają jako „ptaski wele usu" i uczułem głęboką przykrość. Przypomniał mi się Cypryan Norwid, który nakazywał nam się kojarzyć z słowem ludu, bo w słowie ludu jest treść jego duchowej pracy. Nakazywał nam patrzeć, jak lud pracuje, jak się ubiera, jak maluje swoje skrzynie, jak rzeźbi swoje sprzęty; nakazywał nam słuchać, jak mówi, jak śpiewa, a nakazywał dlatego, że praca ludu jest pierwszym stopniem pracy narodowej. Następnym będzie praca mieszczanina, dalszym praca inteligenta i tak het w górę. I wspomniałem równocześnie następujące zdanie tegoż poety: „Żadne się społeczeństwo nie ostoi i żaden naród nie utrzyma, gdy przez pracy harmonię tradycyjną powiązane z sobą słowo ludu i słowo społeczeństwa, w dwie się strony rozprzęgną".

A jest także słowo — rzekłem — które w sobie łączy wszystko. Które nas tak wiąże, jak powrósło wiąże zboże w snopy, które jest zarazem, jak ziarno rosnące, bo nam daje moc rozwijania się w sobie i w życiu, które jak młot wykuwa los naszego żywota i żywota narodu, które jest fundamentem i gmachem. Krótko mówiąc znam słowo przez pełnienie którego stajemy się lepszymi i mądrzejszymi, słowo jedno, małe, a jednak jest ono podstawą życia, podstawą naszego losu, podstawą bytu narodu. Słowo to brzmi „praca".

Przestałem umyślnie mówić, aby ujrzeć wrażenie wywołane tem, co powiedziałem. Było takie, jak się spodziewałem. Zdanie wygłoszone przezemnie przyjęto, jako żart. Zwłaszcza tokarz zdawał się ubawiony, roześmiał się bowiem głośno, a nawet złośliwie, podczas gdy sklepikarz kręcił głową z uśmiechem i powtarzał z niedowierzaniem:

— E-e-e.

— Haruj człowieku, jak bydle! — Krzyknął nagle tokarz. — W nocy śpij, jak drzewo, wstawaj zmęczony i haruj znowu do wieczora. Tfu! Co w tem dobrego i mądrego? Psiakrew! Przepraszam, ale muszę kląć, gdy o tem myślę. Tak żyć, to lepiej, ech!

Odwrócił się odemnie zniechęcony. Przekupka nastroiwszy pogrzebową minę, kiwała smutnie głową, a sklepikarz patrzał przed siebie osłupiałym wzrokiem. Mimowoli spojrzałem w stronę wieśniaka, spodziewając się że znowu odezwie się na swój dosadny zwięzły sposób. I nie omyliłem się.

— Oho, już po raju — mruknął — teraz cłeku zasługuj się, kiej chces wliźć do raju.

Tokarz uniósł się jeszcze gwałtowniej.

— Co mi tam głowę rajem zawracać! Ja chcę, żeby mi tu dobrze było. Za takie harowanie! — I klął po swojemu.

— Ach! Ach! — Wzdychała przekupka.

— Pewnie! Pewnie! — Wtórował sklepikarz. Widocznie na tym punkcie, zgadzali się wszyscy troje znakomicie.

— To co państwo mówicie, prawdą jest. — Potwierdziłam. — Nie my pierwsi narzekamy na pracę. Oto już pierwszy człowiek pełnił ją jak pokutę. To też poeta Norwid pisał o pracy: „Koniec końców praca z grzechu jest i tylko ją miłość odkupuje". Ale dalej mówi: „Nie pełniący pokuty, sumienia czystego mieć mogą". — Złożywszy te dwa zdania razem i pomyślawszy nad niemi nie rozumiemy dopiero, czem jest prawo dla człowieka".

(C. d. n.). *W. T.*

SŁOŃCE i PLANETY.

III.

W wycieczce naszej po państwie słonecznem zbliżamy się do planety Marsa, odległej od słońca na 30 milionów mil. Odległość Marsa od ziemi jest zmienną, jeżeli obie te planety znajdują się po tej samej stronie słońca, to odległość dochodzi do 10 milionów mil i wtedy widzimy Marsa na niebie, jako dużą, czerwono świecącą gwiazdę; gdy zaś ziemia znajduje się po jednej, a Mars po drugiej stronie słońca, odległość między nimi dochodzi do 50 milionów mil. Mars jest $6^1/_2$ razy mniejszy od ziemi, obieg jego około słońca czyli rok na tej planecie wynosi 2 nasze ziemskie lata, doba zaś, czyli obrót około swej osi $24^1/_2$ godz. Długość dnia i nocy jest więc na Marsie prawie taka jak na ziemi. Pory roku są znacznie dłuższe. Ponieważ rok marsowy posiada 687 dni, każda z pór roku jest dwa razy dłuższa niż u nas. Przez lunety czyli instrumenta astronomiczne, zaopatrzone w szkła powiększające, dostrzeżono na Marsie zarysy lądów, mórz, wysp i kanałów. Zainteresowano się tą planetą więcej, kiedy się przekonano, że posiada atmosferę, chmury, lodowce przy biegunach, czyli, że jest zupełnie podobną do naszej ziemi. Kosztem wielu tysięcy zbudowano kilka stacyj astronomicznych, służących jedynie do obserwacyi Marsa. Niestety — wzrok ludzki, uzbrojony nawet w najsilniejsze szkła, jest jeszcze za słaby, aby mógł rozpoznać na takiej odległości ślady jakiegoś życia. Zauważono tylko kanały, ściśle geometrycznie poprowadzone, służące zapewne do rozprowadzania wody z dalekich mórz. Kanały te długości kilkaset mil, szerokie zaś na kilkadziesiąt mil, budzą podziw swoją regularnością.

Szczególnie ciekawą jest okoliczność, iż widzialność kanałów znajduje się w ścisłym związku z porami roku na Marsie, a mianowicie z wielkością plam biegunowych. Dokoła obu biegunów Marsa zajmują znaczną przestrzeń lody i śniegi, ktore z ziemi widzimy jako białe plamy. Gdy na półkuli północnej jest lato, plama północna maleje a zwrasta południowa i naodwrót. Te zmiany plam sprawiają wrażenie, jakoby lody pod działaniem ciepła słonecznego rozpływały się. Gdy jest lato na północnej półkuli, wtedy następują tam roztopy śniegów i lodów, woda zapełnia kanały, spływa nimi i zapewne zostaje rozprowadzona po całym lądzie. Wtedy to kanały północnej części Marsa występują wybitniej, jak kanały na jego południowej półkuli.

Rozkład wód i lądów jest na Marsie inny, niż u nas na ziemi. Trzy czwarte powierzchni naszej kuli pokrywa woda, a na Marsie rozkład lądów i mórz jest prawie równy. Ląd niema tam wyglądu wysp, wyłaniających się z pośród oceanów, a zbiorowiska wód wyglądają jak morza śródziemne. Lądy są zapewne płaskie, bo nie zauważono tam żadnych wyniośleJszych gór.

Niektórzy uczeni, podziwiając budowę kanałów na Marsie, orzekli, że tylko jakieś istoty rozumne, podobne do człowieka, zdolne były do zbudowania tychże. Inni dowodzili, że do wykonania takich kanałów potrzebaby na ziemi wielu tysięcy lat pracy całej ludzkości i dlatego wyjaśnienia tych zagadkowych utworów należy szukać jedynie w działaniu sił przyrody. Istniały całe szeregi projektów porozumienia się z Marsem. Są tacy, którzy twierdzą, że wynaleziony telegraf bez drutu, odda tu wielkie usługi. Istnieje też cały szereg fantastycznych książek, opisujących życie istot ludzkich na Marsie, a nawet przybycie Marsyan na ziemię i walkę ich z nami.

Czy na Marsie i innych planetach są tacy ludzie jak na ziemi, czy inne jakieś istoty rozumne o innej budowie, wie tylko Bóg, który panując nad całym wszechświatem,

posiada pod swym berłem liczne królestwa, które mocą swej Mądrości stosownie urządził.

Oko ludzkie daremnie dotychczas próbuje przeniknąć tajemnice odległych światów. Człowiekowi pozostaje tylko podziw i zachwyt dla pięknie iskrzącego i pełnego tajemnic nieba.

Za Marsem w odległości przeszło 3 razy tak wielkiej jak odległość Marsa od słońca, krąży olbrzymia planeta Jowisz. Wielka przestrzeń między temi planetami od dawna zwracała uwagę astronomów, którzy spodziewali się odkryć krążącą po tych przestrzeniach nieznaną planetę. Na początku ubiegłego stulecia odkryto pierwszą maleńką planetę, nazwaną Ceres, wkrótce potem odkryto inne a obecnie liczba ich dochodzi do 500. Wszystkie te ciała niebieskie są małe, a pod względem masy równają się ledwie ułamkowi masy ziemskiej, nie nazywamy je też planetami ale planetoidami. Niektóre z nich są zaledwie tak duże, jak Warszawa, Kraków, czyli posiadają parę mil objętości.

Przychodzimy teraz do olbrzymiego Jowisza, królującego w odległości 105 milionów mil od słońca. Jest to największa planeta systemu słonecznego, jest bowiem 1400 razy większa od naszej ziemi. Potrzebuje 12 lat naszych, aby okrążyć słońce, lecz około swej osi obraca się niezmiernie szybko, bo taka ogromna kula w 10 godzinach już się raz obróci; więc dzień i noc trwają tam po 5 godzin. Pór roku niema, niema ani lata ni zimy, jest tam tylko jedna, wiecznie trwająca wiosna, nie tak może piękna jak nasza, gdyż w takiej odległości słońce wydaje się 25 razy mniejsze, to też swieci i grzeje 25 razy słabiej. Że jednak te promienie dobrze go oświecają, poznać stąd, ze Jowisz jest najwspanialszem ciałem niebieskiem na naszem niebie. Powierzchnia Jowisza nie przedstawia takiego bogactwa szczegółów jak powierzchnia Marsa. Patrząc przez lunety, można zauważyć na Jowiszu jakieś pasy i plamy, ktore, jak się okazało nie są stałe, z czego wynika, że unoszą się prawdopodobnie w atmosferze. Wiele szczegółów przemawia zatem, że powierzchni Jowisza nie widzimy wcale, tylko otaczającą go gęstą atmosferę, a zmiany, które w tej atmosferze widzimy, zachodzą pod działaniem własnego ciepła Jowisza. Jowisz bowiem, jak zapewniają niektórzy astronomowie, znajduje się, w stanie przejściowym t. zn. przechodzi ze stanu gazowo-ciekłego w stan, który dawno już osiągnęły inne planety jak ziemia lub Mars, to jest pokrywa się twardą skorupą na powierzchni.

Taki pan wielki, bez służby się nie obejdzie, ma więc Jowisz 7 księżyców, z których dwa są większe od naszego. Gołem okiem dojrzeć ich nie można, lecz wystarczy lunetka 20 razy powiększająca, aby zobaczyć ruch czterech większych księżyców Jowisza. Śliczna musi być noc na Jowiszu, gdy na niebie świeci naraz parę księżyców, jedne wschodzą, drugie zachodzą, również zaćmienia ich zdarzają się codziennie.

Ruchy tych księżyców posłużyły astonomowi duńskiemu Roemerowi, do odkrycia chyżości światła. Mianowicie obliczył on, że światło na jedno klaśnięcie w dłonie, czyli jedną sekundę przebiega 41 tysięcy mil.

Wszystkie prawie dotychczas opisane przez nas planety, a więc Wenus, Mars i Jowisz, można łatwo oglądać gołem okiem. Merkury, jako zbyt blizki słońca, rzadko kiedy jest widzialny, dalsze zaś planety, jak Saturn, Uran i Neptun są zbyt małe.

W zimowych numerach „Przodownicy“ wskażemy czas i miejsce planet, bo sądzimy, że niedość jest czytać o planetach ale dobrze jest także samemu je znać i obserwować ich ruchy.

Następną planetą jest Saturn, ten oddalony już jest od słońca przeszło 190 milionów mil. Jest to odległość 10 razy większa, niż ziemi od słońca. Kolos ten 700 razy większy od naszej ziemi obiega słońce w 30 latach.

(C. d. n.).

Człowiek i zdrowie.

(Bajka Krasickiego).

W jedną drogę szli razem i człowiek i zdrowie.
Na początku biegł człowiek; towarzysz mu powie:
Nie spiesz się, bo ustaniesz... Biegł jeszcze tem [bardziej.
Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi;
Aż człowiek, że z początku nadwerężył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadyszał,
Powadź mię, iść nie mogę, rzekł do towarzysza.
„Było mnie zrazu słuchać". natenczas mu rzekło.
Chciał człowiek odpowiedzieć... lecz zdrowie uciekło.

O TRUCIZNACH W POKARMACH.

(Dokończenie).

Jeżeli jedno lekarstwo pomogło Janowi, to dać go i Maciejowi. Jest to pospolity sposób leczenia, ponieważ przekonano się, że jedno lekarstwo jest dobre, więc trzeba go używać, nie pytając na jaką ono jest chorobę, chociażby nawet na wręcz przeciwną. Często także, jeżeli doktór lekarstwo zapisze a ono choremu dobrze robi, to nie zważa się na przepisaną dawkę, ale daje się raz i dwa razy tyle, ile lekarz nakazał, bo jeżeli taka odrobina pomaga, to dwa razy tyle dwa razy prędzej chorego uzdrowi. A tymczasem to nie prawda, bo każde lekarstwo użyte nadmiernie jest trucizną i o ile zapisana przez lekarza dawka może uleczyć, o tyle nadmierne użycie może zaszkodzić a nawet i zabić. Lekarz zbadawszy organizm chorego, najlepiej może wiedzieć, co choremu przepisać i w jakiej ilości, dlatego też nie trzeba nigdy lekarza poprawiać. Wielką wadą ludu wiejskiego. jest brak zaufania do formalnych medyków a udawanie się i pokładanie wiary w znachorach i owczarzach.

Ocet kupowany u żydów i niesumiennych kupców należy do najpospolitszych trucizn. Zaprawiają go często kwasem solnym lub kwasem siarczanym (witryolejem).

Cebula, jeżeli dłuższy czas leży rozkrajana, zmienia smak i staje się szkodliwą, prócz tego cebula ma własność pochłaniania chorób z powietrza, dlatego lepiej jest używać cebul małych, ale tak, aby cała cebula została zużyta, by kawałki nie zostawały do drugiego dnia. Nie dobrze też jest używać cebuli na surowo.

Tytoń należy do roślin odurzających, sprawia w ciele rozmaite, nieraz bardzo gwałtowne zaburzenia, zwłaszcza działa na mózg i nerwy, żołądek i inne narzędzia trawienia, sprawia nudności, wymioty, biegunkę, zawrót i ból głowy, obfity odpływ uryny i t. p., najprędzej można to zauważyć u osób poczynających palić tytoń. Ciało przyzwyczaja się powoli do tej gwałtownej pobudki, a nałóg zmniejsza jej wpływ szkodliwy na zdrowie, jednak niepomiarkowane palenie tytoniu zawsze jest szkodliwem, znaczną bowiem ilość wyprowadza śliny, która nietylko ułatwia trawienie, ale i zasila je. Ostrość tytoniu psuje zęby, zanieczyszcza soki, osłabia apetyt, strawność i wszystkie od nich zależne funkcye, wprawia w nieład ciało, osusza i doprowadza do suchot.

Kto jednak od dawna pali tytoń a nie doświadcza złych skutków, nie powinien odrazu przestać palić, ale odwykać powoli. Jak również nierozsądnie czyni, kto się bez potrzeby obarcza tak strasznym podatkiem i to dla utraty zdrowia. Tytoń może jedynie służyć osobom otyłym, mającym dużo soków i dużo flegmy, przeciwnie zaś osoby szczupłe, chude, nie powinny go palić, tylko w czas wilgotny i mglisty, dla odpędzenia szkodliwych wyziewów.

WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Ś. p. Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk, redaktor Gazety Świątecznej) zasnął w Panu we środę 8 lipca w Warszawie. Po długiej i ciężkiej chorobie, w sile wieku 57 lat, zakończył cicho życie ten nierozgłośny a tak potężny, niezmordowany działacz. Społeczeństwo polskie traci w nim człowieka czynu, który gorąco ukochał wielkie rzesze ludu polskiego,

Wychowawca z urodzenia, pracę całego życia poświęca krzewieniu oświaty słowem i piórem wśród ludu wiejskiego przedewszystkiem. Już przed 40 laty rozpoczął swoją pracę, a przed 28-miu zaczyna wydawać „Gazetę świąteczną“, wyborne, ogólno kształcące pismo dla włościan.

Prócz tego pisuje wiele i w różnych kierunkach zabiera głos, zawsze mając na myśli potrzeby ludu.

Brak szkół początkowych dla ludu i mnóstwo nieumiejących czytać powoduje ś. p. zmarłego do ułożenia i wydania „elementarza“ swego pomysłu, któremu równego niema na świecie. Elementarz ten wywołał zupełny przewrót w początkowej nauce czytania, a na kongresie początkowego szkolnictwa w Londynie uznano go za najlepszy. Elementarz ten rozszedł się w niebywałej dotąd dla naszych wydawnictw liczbie, około pół miliona egzemplarzy.

Ś. p. zmarły mniej więcej przed 30 laty przybrał sobie nazwisko „Kazimierz Promyk“ i pod tem nazwiskiem pisywał. Działalnością swą nie zadał kłamu przybranemu mianu, bo pismami swemi rzeczywiście wnosił promyk oświaty do nizkich chat wiejskich, do umysłów jej mieszkańców.

Niepododoa omówić w krótkiej wzmiance pośmiertnej zasług ś. p. zmarłego. Były one olbrzymie. Społeczeństwo też uznało je; a „Macierz szkolna“ w Królestwie Polskiem wśród ogólnego wzruszenia i hołdu zebranych delegatów 27 listopada 1907 roku mianowała „Promyka“ swoim członkiem honorowym.

Rząd rosyjski rozwiązał „Macierz“ — zgasł „Promyk“ — ale zasługi jego świecić będą, a skutki działalności ś. p. zmarłego będą żyły.

Ukochał on całem sercem wielkie rzesze ludu polskiego, ale i lud ten otaczał go wielkiem zaufaniem i miłością. Jaki był stosunek między „Pisarzem Gazety Świątecznej“ z kilku dziesiątkami tysięcy czytelników, najlepiej świadczą słowa zamieszczone w „Gazecie Świątecznej“ za 28-my tydzień 1908 r. przy uwiadomieniu o zgonie „Pisarza Gazety“:

„Cóż dodać do tych słów bolesnych, które Wam dziś niesie ta żałobna Gazeta! Strata, którą ponieśliśmy, jest tak wielką, że wobec niej nie umiemy znaleźć słów dla wyrażenia uczuć, przepełniających nasze serca. Zanosimy więc tylko w tej bolesnej chwili, w imieniu pozostałej w głębokim żalu rodziny i współpracowników, prośbę do wszystkich dobrych ludzi o modlitwę za duszę ś. p. Zmarłego“.

Do tej prośby dołączamy się i my. A pamięci, dzielnego syna Ojczyzmy, zasłużonego pracownika — Cześć!

Towarzystwo Szkoły ludowej. Szesnaste z rzędu sprawozdanie Towarzystwa Szkoły ludowej za r. 1907, przedłożone przez Zarząd główny tegoż Towarzystwa, wykazuje nam dowodnie, że w szeregu instytucyi, które wzięły sobie za zadanie nieść między lud „oświaty kaganiec“ Towarzystwo Szkoły ludowej pierwszorzędne zajmuje stanowisko. Praca i rozwój Towarzystwa kroczą coraz pomyślniej naprzód. Uwidoczniają to najlepiej następujące cyfry, wyjęte ze sprawozdania

Powstało nowych Kół 18, zorganizowano seminaryum nauczycielskie męskie w Białej, powołano do życia 7 szkół nowych, powiększono ilość szkółek początkowych o 20, kursów dla analfabetów o 35. Przybyło kilka ochronek, burs i domów ludowych, założono po wsiach i miastach nowych czytelń i wypożyczalń 177, wygłoszono odczytów 3329.

Z początkiem roku 1908 T. Sz. L. liczyło 247 Kół, 24.134 członków, posiadało 1 seminarym nauczycielskie, 36 szkół, 92 szkółek początkowych, 113 kursów dla dorosłych analfabetów (w tem 15 kursów dla żołnierzy), 10 ochronek, 16 burs, 6 domów ludowych, 1496 czytelń i wypożyczalń. Z nauki w szkołach, szkółkach i na kursach korzystało około 10.000 dzieci i dorosłych. Z czytelń i wypożyczalń korzystało przeszło 600.000 czytelników, odczytom zaś przysłuchiwało się około 200.000 słuchaczy.

Obrót pieniężny Towarzystwa wynosił w r. sprawozdawczym blizko milion koron. Majątek Towarzystwa zwiększył się w tym roku o 150 tysięcy koron, z której to kwoty przypada na dorobek Kół około 130.000, a na Zarząd główny 20.000 K. Zwiększyły się też wcale znacznie dochody z daru narodowego 3. Maja, z ogólnych składek i z 50 prc. składek od Kół w gotówce. Na pomyślne wyniki rachunkowe ostatniego roku administracyjnego wpłynęły także nadwyżki, osiągnięte z przedsiębiorstw Zarządu głównego, a w pierwszym rzędzie z rozprzedaży wydawnictw. Także centralna składnica książek i wypożyczalnia Zarządu głównego przyniosły skromne dochody.

Na polu szkolnictwa T. S. L. zaszła już zapowiadana w roku poprzednim zmiana postępowania. Przyjęto więc zasadę, że budowanie szkół z funduszów T. S. .L. powinno być wyjątkiem, stosowanym tylko w nadzwyczajnych warukach; z reguły należy dopomagać gminom lub mniejszościom polskim do uzyskania szkoły z funduszów krajowych, ofiarując na ten cel pewną subwencyę lub przyjmować na się tak zwane rzeczowe potrzeby szkół, a więc lokal, opał i sprzęty szkolne dla klas flialnych polskich, zakładanych obok szkół ruskich i niemieckich.

Towarzytwu, które niejednokrotnie z Kółkami rolniczemi współdziałało, po zawiązania niejednego Kółka dało inicyatywę, urządzaniem po Kółkach odczytów życie w nich rozbudzało, składamy za współpracownictwo serdeczne podziękowanie, a na przyszłość życzenia dalszego trwałego rozwoju.

Obniżenie ceny soli. Ukazało się obwieszczenie Krajowego Zarządu sprzedaży soli przy Wydziale krajowym we Lwowie, ogłaszające, że począwszy od dnia 10 lipca b. r. wchodzi w życie obniżenie ceny soli w całym kraju do 20 groszy za jeden kilogram soli, czyli za okartonowaną topkę soli warzonki względnie jednokilogramową paczkę kartonową soli mielonej. Obniżeniem tem znosi tedy Wydział krajowy różnorodność cen, którą powodował dotychczas sposób obliczania tych cen ze względu na mniejsze czy większe oddalenie danej miejscowości od saliny lub na trudniejsze czy dogodniejsze warunki komunikacyi.

Ta jednolitość ceny, przynosząc znaczną korzyść w postaci zniżenia ceny, podaje zarazem ludności naszego kraju możność kontroli nad handlarzami, sól sprzedającymi, ludność bowiem należycie o ujednostajnieniu ceny uwiadomiona nie pozwoli handlarzom tym pobierać ceny wyższej aniżeli 20 groszy tem bardziej, że każdej chwili dla umożliwienia powołanym organom usunięcia nadużyć otwartą jest dla wszystkich droga zażalenia do Krajowego Zarządu sprzedaży soli przy Wydziale krajowym we Lwowie wprost albo za pośrednictwem władz gminnych, wydziałów powiatowych, starostw, straży skarbowej i żandarmeryi.

Z dniem 10 lipca b. r. zatem ustaje w handlach sprzedaż soli t. zw. kruchowej, szybikowej lub zielonej, natomiast będzie można nabywać wyłącznie tylko jednę odmianę soli przemielonej i opakowanej w paczkach kartonowych jednokilogramowych. Przemieleniem, odważenim i opakowaniem soli zarządza Krajowy Zarząd sprzedaży soli przy Wydziale krajowym we Lwowie, a czynności te wykonywa w własnych młynach solnych w Bochni i Wieliczce.

Zwracamy uwagę ludności naszego kraju, iżby z całem zaufaniem sól tę nabywała, gdyż

tylko ta sól zapewnia czystość i należytą wagę. Podniosą się zapewne głosy niektórych niesumiennych handlarzy i zapewnienia na temat pogorszenia jakości soli, skoro jej cena spadła, będzie to jednakowoż sposób, obliczony na wprowadzenie w błąd ludności celem zapewnienia sobie możliwości dalszych manipulacyi ze solą, które ludności tej szkodę przynosiły. Powodem potanienia soli w tak znacznym stopniu jest ta okoliczność, iż reprezentacyi kraju udało się wyrobić u rządu dla Wydziału krajowego takie warunki nabywania soli, że można ją było oddać w handel po cenie 20 groszy już w opakowaniu.

Ludność wiejska żądała dotychczas najczęściej soli t. zw. kruchowej, t. j. soli kamiennej w kawałkach, gdyż straciła zaufanie do soli mielonych, do której niesumienni handlarze dodawali rozmaite domieszki, jak np. sodę, szpat i. t. d. Sól ta była oczywiście słabszą i wskutek tego wyrobiło się wśród ludności mniemanie, że sól mielona „wietrzeje“ stając się wskutek tego mniej słoną a zatem mniej wydatną i niestosunkowo drogą. Przyczyną jednakowoż owej niewydatności nie było zwietrzenie soli, gdyż ta nie wietrzeje, ale oszustwa handlarzy, którzy dla uzyskania większej ilości soli, do sprzedaży przeznaczonej, mieszali z nią inne składniki. Dziś siłą rzeczy możność dopuszczania się takich nadużyć ustać musi, sól bowiem będzie w ten sposób przez organy krajowe opakowaną, iż żadnej paczki bez rozdarcia na pierwszy rzut oka widocznego otworzyć nie będzie można.

ROZMAITOŚCI.

Policyanci rąbią szablami dzieci. W Poznaniu odbył się w ubiegłym tygodniu zjazd niemieckich właścicieli drukarń. Po odbytym zjeździe urządzono bankiet w ratuszu, na którym byli obecni także liczni przedstawiciele władz cywilnych, wojskowych i policyjnych. Około godz. 12 w nocy zaintonowali uczestnicy zjazdu patryotyczne pieśni, jak „Die Wacht am Rhein“ i „Deutschland, „Deutschland über Alles“, przy dźwiękach trąb i rogów tak głośnych, iż je słyszano aż na ulicy Zamkowej. Wkrótce około 250 osób, po większej części wyrostków robotniczych obu narodowości i gawiedzi ulicznej, zgromadziło się około „żydowskiego pałacu“ na narożniku Rynku i ulic Żydowskiej i Szerokiej, a podnieceni manifestacyjnymi śpiewami przy otwartych na oścież oknach zaśpiewali polskie pieśni: „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“. Dwaj obecni policyanci usiłowali tłum rozpędzić, co im się jednak nie powiodło. Zawezwali więc pomoc, która się zjawiła w osobach kilkunastu policyantów z komisarzem rewirowym p. Kugasem na czele. Policya zawezwała tłum do rozejscia się i zaprzestania śpiewów. Gdy tłum nie ustępował a rozpoczął się zgiełk i hałas, policya dobytymi pałaszami wyparła go na ulicę Żydowską, gdzie wszczęła się bijatyka, podczas której aresztowano i pocięto pałaszami kilka osób.

O godz. 1-ej przybył patrol wojskowy, składający się z ośmiu żołnierzy, który nie miał już nic do czynienia. Pomiędzy zranionymi znajduje się kilku wyrostków. Jedna osoba otrzymała ciężką ranę w głowę. Wśród ludności panuje żywe oburzenie. Zajście to, które pociągnęło zą sobą krwawe ofiary, było najwyraźniej sprowadzone przez patryotyczne śpiewy Niemców, a brutalność policyi dokonała reszty.

Nowe ustawy przeciw robotnikom polskim. „Posener Tageblatt“ donosi, że stowarzyszenie wschodnio kresowych kupców na drzewo i przemysłowców, zajmujących się przerabianiem drzewa, odebrało na podanie swe wystosowane do ministra spraw wewnęcznych, zawiadomienie, że istnieje obecnie zamiar zmiany przepisów, odnoszących się do zatrudniania zagranicznych robotników w przemyśle. Dodano przytem, że przy za-

trudnianiu robotników niepolskiej narodowości, np. Włochów lub Rusinów, zastosowane mają być, jedyne przepisy ogólne odnoszące się do legitimacyi obcokrajowców. Nic więc nie stoi na przeszkodzie zatrudnianiu robotników tej kategoryi w zakładach przemysłowych, skoro tylko posiadają potrzebne legitymacye; odnosi się to do robotników z Rosyi, Austro-Węgier i południowych krain, o ile nie są Polakami.

Jak się traktuje polskich robotników w Prusiech. Dnia 24 z. m. sprowadził żandarm pruski do stacyi kolejowej w Dziedzicach robotnika Jędrzeja Jagielskiego z Bukowca, pow. Grybow. Pracował on na folwarku Georga Hopfego w Weidkowitz jako furman, a jadąc raz wozem miał to nieszczęście, że złamał dyszel. Za to pracodawca potrącił mu z zarobku 5 marek. Gdy Jagielski powołał się na to, że dyszel był zgniły i nie z jego winy się złamał, wyrzucił go Hopfe z pracy, zatrzymując mu cały zarobiony dotąd grosz. Inni robotnicy polscy ujęli się za Jagielskim i strejkowali przez 5 dni, a z zemsty za to kazał Hopfe Jagielskiego jako „buntownika“ odstawić do granicy.

Żandarm pruski sprowadził Jagielskiego do Dziedzic, kupił mu bitet do Oświęcima i zostawił go bez grosza. Szczęściem ulitował się nad nim jeden z tamtejszych konduktorów i zaprowadził go do rafineryi nafty, aby sobie mógł zarobić bodaj na podróż do domu.

Jagielski opowiada, że na folwarku Hopfego panują straszne stosunki, robotników się bije, przetrzymuje się im zarobki, pożywienie otrzymują nędzne; niejeden chętnie uciekłby, ale bez pieniędzy i papierów ruszyć się nie może.

W taki sposób ćwierć miliona robotników galicyjskich zdanych jest na łaskę i niełaskę pruskich junkrów, a rząd austryacki nie chce się mieszać do wewnętrznych spraw obcego państwa.

Z dziedziny przesądów i zabobonów. 27 maja br. w Czarnym Jarze gub. Astrachańskiej umarł w skutek nadużycia alkoholu jeden z mieszkańców miasteszka Stefan Dołgow. Kilka tygodni potem ludność tamtejsza, zaniepokojana olbrzymią posuchą, po długich poszukiwaniach przyczyn tego nieszczęścia doszła do wniosku, że spowodował ją zmarły Dołgow, że Bóg nie zsyła na ziemię deszczu właśnie skutkiem tego pijaństwa. Gniew zawrzał w ciemnym tłumie. Postanowiono się zemścić na nieboszczyku. I oto 20 lipca ludność tłumnie zebrała się na cmentarzu i zaczęła odkopywać mogiłę Dołgowa. Gdy przekopano otwór aż do trumny, zaczęto wiadrami lać na nią wodę. Kobiety dźwigały wodę z Wołgi, mężczyźni wylewali ją na trumnę, a gdy zmęczeni już sami uporać się z tem nie mogli, złożyli się i wynajęli woziwodę. Charakterystyczne, że całą tą akcyą kierowały mniszki z sąsiedniego klasztoru.

Bluszcz jako ochrona murów. Wbrew rozpowszechnionemu twierdzeniu, że bluszcz zaprowadza wilgoć w pokrytych przez siebie murach, sprawdzono teraz, że naprawdę jest on środkiem osuszającym. Zaczęto go też w tym celu hodować i sadzić. Osuszanie to jest zapewne zależne od nadzwyczaj cienkich korzeni, które w ciskają się w każdą szparę. Również bujne i twarde liście, pokrywające tę roślinę, chronią mur od deszczu i wody spływającej z dachu. Jeśli budynek pokryty bluszem jest wilgotny, zależnem jest to pewnie od położenia domu i złego zabezpieczenia od wilgoci, wdzierającej się od spodu do wnętrza ścian.

Płótno mieszane z bawełną. Od czasu jak bawełna jest więcej rozpowszechnioną, mieszają jej dużo do płótna, już to jako wątek, albo też skręcając w przędzeniu nitkę lnu z bawełną, w takim razie trudniej rozpoznać bawełnę wkręconą. Kupując płótno należy uważać, czy jest ciężkie, gdyż len jest znacznie cięższy od bawełny. Można się także przekonać o czystości płótna, ścierając je w palcach. Jeżeli mech na niem po-

wstanie, mamy dowód, że jest przerabianem z bawełną, bo wiemy, że bawełną wyrabia się z krótkiego puchu, a len ma długie włókna, po starciu więc koniuszki puchu powstaną — przez krochmal uprzednio przygładzone, na płótnie zaś gdzieniegdzie tylko takie włókienka się ukażą po starciu tegoż. Jeszcze jedna próba: odciąć kawałeczek płótna i zrobić na niem plamkę wodą lub atramentem. Jeżeli płótno mieszane jest z bawełną, atrament rozlewa się jak na bibule, bo bawełna, łatwo wilgoć wciąga wskutek włoskowatości. Płótno od perkalu różni się jeszcze ślizgością i kolorem żółtawym. Perkal jest zwykle niebieskawy, mocno krochmalony ale nie sztywny, bo po starciu całą sztywność traci i łatwo się naciąga na wszystkie strony.

Podział doby. Staraj się o ułożenie życia tak, abyś z czasem potrzebował ośm godzin pracować, ośm — sypiać, ośm — zużytkować na rozrywkę i posiłek. W zimie wolno ci spać dłużej — niż w lecie. Pracę, posiłek, sen i rozrywkę przeplataj umiejętnie, aby ci przyniosły korzyść.

Z Włoch. Straszna klęska dotknęła w tym roku południową część kraju włoskiego. Są tam okolice w których już od 19 miesięcy nie spadła ani kropla deszczu. Ogrody owocowe, wino, tytuń, pszenica — wszystko uschło i zostało spalone przez piekące promienie słońca. W wielu miejscowościach powysychały strumyki i studnie, a ludzie chorują i umierają z pragnienia. Wodę trzeba kupować i płacić za nią drożej niż za wino; butelka wody kosztuje złotówkę, albo 20 groszy. W całej tej okolicy jest straszna nędza wśród ludności.

Z Galicyi. W Jarosławiu, mieście powiatowem nad rzeką Sanem w Galicyi, otwarto w sobotę 29 sierpia wystawę rolnictwa i przemysłu. Udział w niej biorą wystawcy polscy nietylko z Galicyi, ale również z pod zaboru rosyjskiego i prusko-niemieckiego.

Olbrzymi pożar lasów. W południowo-zachod. Kanadzie, zwanej angielską Kolumbią, szalał straszny pożar lasów. Według wiadomości, które nadeszły do pism angielskich, jestto największa katastrofa jaka zdarzyła się kiedykolwiek w Kanadzie. Około 10.000 ludzi straciło całe swe mienie, musząc uchodzić przed nadciągającą zewsząd falą płomieni, które wichry roznosiły z przerażającą szybością. Już teraz donoszą o 500 trupach, zachodzi jednak obawa, że liczba ofiar jest większa.

Najstraszniejszą była katastrofa w mieście Fernie, które tak niespodziewanie otoczoły płomienie, że 74 osób nie znalazło już czasu, by uciec z domów i znalazło śmierć w ogniu. Przestrzeń ogarnięta pożarem wynosi przeszło 100 mil kwadr. Komunikacya kolejowa zupełnie uniemożliwiona, mosty zniszczone, tak że wszelki ratunek jak i ucieczka z zagrożonych obszarów niezmiernie trudna.

Mr. Carswell, urzędnik kolejowy, powziął śmiały zamiar uratowania kasy kolejowej w Fermie. Gdy nadciągnęły płomienie, w ostatniej prawie już chwili dopadł drezyny i wówczas rozpoczął się straszliwy wyścig. Wiatr wzmógł się i za uciekającym urzędnikiem pędziły z szaloną szybkością płomienie. Już udało się Carswellowi zostawić daleko za sobą pożar, gdy w tem natrafił na miejsce, w którem tor kolejowy zniszczony był skutkiem pożaru. Zeskoczył więc z drezyny i zebrawszy wszystkie siły, począł uciekać piechotą, wreszcie w zupełnie prawie spalonym ubraniu udało mu się uciec do miasta Cranbrock, gdzie zupełnie nieprzytomnego oddano do szpitala.

W sprawie rozwoju przemysłu pończoszkarskiego w kraju. W ostatnich czasach kilka zagranicznych fabryk maszyn pończoszniczych, a także i utworzone przez nie zastępstwa w kraju, rozwinęły żywą czynność ogłoszeniową, celem nakłaniania zwłaszcza ludności uboższych warstw wiejskich i miejskich, do nabywania maszyn pończoszniczych, przyczem obiecuje się nabywcom, że fabryka odbierać będzie od nich każdą ilość wyrobionego towaru, a tymczasem Liga Po-

mocy przemysłowej stwierdziła już niejednokrotnie w tym kierunku nadużycia łatwowierności i nieświadomości najbiedniejszych z reguły jednostek, idących ślepo na lep takich obietnic.

Aby zebrać w tym kierunku odpowiedni materyał pouczający i wdrożyć akcyę ochronną, Liga Pomocy przemysłowej uprasza wszystkich interesowanych i każdego, kto może udzielić wiadomości o tem, jak poszczególne reklamujące się firmy czeskie i inne w kraju działające, postępują po dostarczeniu maszyny pończoszniczej — i jakie wogóle porobiono na tem polu doświadczenia — o nadesłanie dotyczących wyjaśnień do Biura Ligi Pomocy przemysłowej we Lwowie, ul. Słowackiego L 18.

Krakowskie Towarzystwo chowu drobiu, gołębi i królików. P. T. Wydział Krakowskiego Tow. chowu drobiu, gołębi i królików zaprasza niniejszem do zapisania się na listę członków tegoż Towarzystwa.

Cel nasz jasno wytknięty: „podniesienie jednej z bardzo ważnych gałęzi gospodarstwa domowego, a u nas w tym stopniu zaniedbanej, iż samo m. Kraków sprowadza z zagranicy rocznie za 300.000 kor. drobiu“.

Każdemu znaną jest dziś tak żywotna kwestya dostarczenia uboższej ludności taniego mięsa króliczego.

Nie wysoka w stosunku do przewidzianych statutem korzyści wkładka roczna, powinna tem bardziej zachęcić do poparcia celów Towarzystwa.

Członkowie Krakowskiego Towarzystwa chowu drobiu, gołębi i królików płacą rocznie wkładkę 6 kor. i jednorazowe wpisowe 1 kor., włościanie zaś i nauczyciele ludowi płacą tytułem rocznej wkładki tylko 3 kor. i wpisowe w kwocie 1 kor.

Towarzystwo nadaje swym członkom bezpłatnie rasowy drób i króliki, w miarę funduszów i po kolei zgłoszeń pod tym warunkiem, iż będą utrzymywać nadane im zwierzęta rozpłodowe w dobrym stanie, i że się zobowiążą przez podpisanie deklaracyi zwrócić w ciągu dwóch lat, nie nadane rozpłodniki, ale przychowek czysto rasowy, dobrze rozwinięty i przynajmniej 6-cio miesięczny, w takiej samej ilości co do samców i samic, w jakiej im nadano sztuki rozpłodowe.

Nadto otrzymuje każdy członek organu Towarzystwa, illustrowany miesięcznik p. t. „Hodowca drobiu“, czasopismo poświęcone wyłącznie hodowli, zapobieganiu i leczeniu chorób drobiu, gołębi i królików.

Towarzystwo, drobiu ani królików nie sprzedaje, na żądanie jednak wskazuje adresy hodowców, od których można nabywać sztuki hodowane, względnie jaja wylęgowe.

Dżuma i cholera w Rosyi szerzą się w zastraszający sposób. Codziennie umiera po kilkadziesiąt osób na tę straszną chorobę. Czynią one w ludziach ogromne spustoszenia.

Milion czterysta tysięcy ludzi siedzi obecnie w więzieniach rosyjskich. Na pilnowanie tak olbrzymiej liczby więźniów potrzeba 10-tysięcy żołnierzy, Obliczeń tych dokonał jeden z redaktorów rosyjskich.

Handel koniną. W dzielnicy wolskiej w Warszawie istnieje kilka sklepów z mięsem końskiem, które, wobec drożyzny innego mięsa, znajduje duży pokup wśród uboższych mieszkańców, cena bowiem koniny wynosi po kilka kopiejek za funt. Podobno mięso końskie nabywane jest również przez właścicieli mniejszych składów masarskich do wyrobu wędlin.

Trzyletnia zabójczyni. Małżeństwo Błaszczyk z Chełma w pow. noworadomskim (Król. Pol.) przywiozło do szpitala św. Trójcy w Piotrkowie 1-roczne dziecko, przebite nożem, które wkrótce zmarło. Jak się wkrótce okazało, sprawczynią zbrodni była 3-letnia córka Błaszczyków, która nie mogąc zabawić płaczącego dziecka, chwyciła nóż i wbiła w brzuch swego brata.

Powodzenie w życiu jak osiągnąć? Praktyczne wskazówki dla każdego zebrał i ułożył Prof. Broń. Nakładem wydawnictwa „Hygieia“ (Czarnowski Berlin N. Weissen-

burgerstr. 27. — Cena z przesyłką 1,10 M. = 1,30 kor. = 55 kop.

Wszyscy ludzie dążą do szczęścia i wszyscy chcieliby być szczęśliwi — niestety bardzo wielu jednak niema powodzenia w życiu. Dzieje się to przeważnie z tej przyczyny, że nie obrali sobie właściwej drogi, prowadzącej do celu. Otóż niniejsza książeczka ma być pewnym drogowskazem w tym kierunku, tak aby powodzenie w życiu nie było dla nas żadną tajemnicą.

Ograniczamy się tu na podaniu następupującej treści w 12 rozdziałach tego dziełka: Sczęście ludzkie wogóle. — „W zdrowym ciele — zdrowy duch“. — Ważność kształcenia własnego chrakteru. — Władaj sobą! — Praca — pilność. — Energia — siła woli. — Wyrabianie energii w dzieciach. — Szczęśliwa sposobność. — Silna wola. — Pieniądz — oszszędność. — Potęga koncentracyi czyli skupienia umysłu. — Napomnienia i uwagi.

Podane tu rady i przestrogi mają nader wielkie znaczenie dla odradzającego się społeczeństwa naszego.

Zbiorowe zatrucie grzybami. We wsi Dąbrowica, pow. Jarosławski, zaszedł straszny wypadek.

Cała rodzina złożona z 6 osób: rodzice i czworo dzieci – otruła się grzybami.

Zmarli w strasznych boleściach — dzieci na drugi dzień po spożyciu grzybów, rodzice na trzeci.

Nie można było się dowiedzieć, jakie grzyby zjedli, gdyż zachorowali wszyscy tak gwałtownie i tak cierpieli strasznie, że żadne nie miało siły wyjść przed dom i zawołać o pomoc.

Dopiero na trzeci dzień, ryczenie bydła w oborze zwróciło uwagę sąsiadów.

Kiedy weszli ludzie, straszny widok przedstawił się ich oczom — na ziemi wśród nieczystości i wydzielin leżały cztery trupy dzieci, a obok trupów rodzice wili się z bólów i nie krzyczeli już, ale ryczeli nieludzkim głosem. O ratunku nie było już mowy. Matka zmarła zaraz po przyjściu sąsiadów—a ojciec zdążył jeszcze opowiedzieć, że sam nazbierał grzybów i sam ugotował, mimo iż żona wyrażała wątpliwość, czy grzyby dobre i skonał.

W tym roku wyjątkowo dużo zdarza się wypadków zatrucia grzybami - może wskutek mokrego roku, są na grzybach jakieś pleśnie trujące – to też przy gotowaniu grzybów należy zachować jak największą ostrożność.

Trzeba najpierw każde grzyby sparzyć kipiącą wodą, potem jeszcze pierwszą wodę przy gotowaniu odlać, zalać drugą kipiącą wodą i dopiero gotować.

Koniecznem jest dodawanie cebuli do grzybów – jeżeli cebula zczernieje po włożeniu do grzybów, powinny być grzyby wyrzucone. Również, jeżeli przy krajaniu nożem i grzyb i nóż sinieje, grzyby są trujące. Pozatem najlepiej nie używać grzybów nieznanych, a tylko pewne i wypróbowane.

Podskubywanie gęsi. Zły to i barbarzyński zwyczaj odzierania gęsi żywcem z piór. Jest to okrutne a nieracyonalne postępowanie. Okrutne—bo zadajemy wielki ból biednemu stworzeniu – nieracyonalne, bo za większy zysk, ponosimy większą stratę.

Wyrywanie garściami pierza z ciała gęsi jest równem okrucieństwem, jakby kto człowiekowi włosy z głowy wyrywał – nie próbujcie zaprzeczać — ból jest taki sam — a może i większy, bo gęsiom pierze i puch zdzierają z całego ciała — zaś człowiekowi włosy zdzieranoby tylko z głowy – jeno. że gęś słowami swego bólu wypowiedzieć nie może, krzykiem się jeno skarży na zadawaną jej krzywdę i okrucieństwo ludzkie.

Powiecie jeszcze może, że gęsi w jesieni i tak gubią pierze, ale niechby ktoś w porze kiedy wam wypadają włosy, chciał głowę wam oskubać, choćby bardzo delikatnie, po jednym włosku, czy nie doprowadziłoby was to do choroby, jeżeli nie do szaleństwa.

Podskubywanie jest przytem nieracyonalne, gdyż gęsi po podskubaniu tracą na kilka dni apetyt, chorują, chudną i to co się zyskuje na pierzu, traci się w dwójnasób na tłustości gęsi i na jej wadze – a temsamem na cenie,

jeżeli gęsi przeznaczone na sprzedanie — gdy zaś przeznaczone na chów, tem bardziej podskubywać się ich nie powinno — im gęś będzie zdrowsza i silniejsza, tem zdrowsze i silniejsze wyda gąsięta a jak co rok, lub nawet dwa razy do roku, taką mękę i chorobę przechodzi, znosi mniej jaj i mniejsze, gąsięta z tych jaj są słabsze i trudniejsze do wychowania.

Powie niejedna gosposia – co robić, nie podskubać, nie będzie pierza, a za pierze bierze się ładny grosz — przytem pierze z roku na rok droższe.

Otóż, żeby gęsi nie męczyć, a nie tracić pierza całkowicie, trzeba uważać w jesieni i na wiosnę kiedy gęsi zaczynają gubić pióra i wtedy codziennie rano i na wieczór przesuwać ręką po całej gęsi, w kierunku od ogona ku szyi i zbierać pierze, które pozostaje w ręku. Kurnik też czysto zamiatać na noc, a rano zebrać pierze, które gęsi przez noc wypuszczą.

W ten sposób gospodyni ma trochę więcej zajęcia, i trochę też pierza straci, to prawda, ale za to zyskuje na zdrowiu i tłustości gęsi, i na gąsiętach, które mieć będzie na rok następny.

Opowiem wam jeszcze, moje Czytelniczki, co mnie skłoniło do napisania dziś o skubaniu gęsi — oto rozmowa z pewną poważną gospodynią wieśniaczką.

Dziwiłam się, że jej gęsi są większe i piękniejsze niż sąsiadki, i że ma ich tak dużo.

Odpowiedziała mi: – A bo gęsi nie morduję, nie skubię, to i zdrowe, wesoło krzyczą i ładnie się chowają.

— Więc przekonałyście się, że podskubywanie gęsiom szkodzi, i że ujmę sobie robicie na dobytku, krzywdząc jednocześnie stworzenie Boże. Powiedzcie mi też, moja Janowa, kto wam tak doradził.

— A nikt — jeno jak mnie raz Pan Jezus wykarał we śnie za gęsi — tak im wolę z pierzem zostawiam.

— Jakto? Pan Jezus? we śnie?

— A ino moja paniusiu — skubałam ci ja moje gąski dwa razy do roku, skubałam, bo wszystkie tak robią — ale takiego już miętkiego jestem serca, że się nieraz spłakałam nad tem biedactwem, jak się to zwijało z bólu pod ręką a potem chodziło jak ogłupiałe i najlepszego nawet jeść nie chciało. Aż będzie teraz na jesieni ze 6 roków, zaczęłam skubać jak co roku o tej porze, ale ledwie parę oskubałam, tak mnie coś zamroczyło, tak osłabłam, że i skończyć nie mogłam. A w nocy Pan Jezus zesłał na mnie aki sen — taki straszny — że go do dziś pamiętam. Przyśniło mi się, że umarłam a dyabły moją duszyczkę do piekła zaniosły. Tam zaraz jeden porwał mnie za włosy, czepiec mi z głowy zdarł, przydusił kolanami do ziemi i jął obskubywać mi głowę z włosów... rwał garściami, targał, szarpał gdzie włosy mocniej siedziały, a powtarzał: „Masz za gęsi... za każde piórko coś wyrwała, tobie włos wyrwę — jakeś ty dusiła gęsi kolanami przy skubaniu, żeby nie krzyczały, tak ja ciebie dusił będę“ – Oskubał mi całą głowę, że została jak to kolano i puścił mię. Podniosłam się — biorąc rękami za głowę — a tu włosy rosną — rosną — w oka mgnieniu już wyrosły takie, jak miałam przódy. A tu ten odmieniec jak skoczy znowu na mnie, jak nie obali, jak nie przydusi kolanem — i znów drze włosy garściami. I tak mnie, paniusiu, męczył calutką noc — a tak zmęczył, że cały tydzień przeleżałam, a paliłam się z gorąca, a krzyczałam ciągle o dyabłach i o gęsiach — aż gdy wstałam, odmówiłam koronkę do Przemienienia Pańskiego i powiedziałam: stracę pierze to stracę, a więcej gęsi skubać nie będę. I co powiecie paniusiu, pierza i tak uskładałam, bo obieram z gęsi dwa razy na dzień, co im samo wylatuje. A moje gęsi o ile większe — gdzie te podskubywane sąsiadów, ani sie do moich umywały — moja każda wyprowadzi 10—12 a czasem 15 gąsiąt — a u sąsiadów jak mają po siedmioro gęsi, to już rade. Ale dopiero jak sprzedaż przyjdzie, to mi dopiero zazdroszczą, bo na każdej sztuce handlarz

kilka szóstek mi dorzuci, że to moje cięższe. Tak mi to już Pan Jezus daje, za to, że Jego stworzeniu nie zadaję męki.

— Czemuż sąsiadki was nie naśladują?

— Bo głupie, paniusiu, bo głupie — ale nie wszystkie, już zeszłego roku Tomaszowa nie skubała i dobrze jej się gęsi wydarzyły, a na ten rok, już ich kilka skubać nie będzie. Żeby tak jeszcze w gazetce naszej — niby w „Przodownicy" napisali o tem...

— Napiszą... *K. P.*

MŁYNARZ, SYN JEGO I OSIEŁ.

(z La Fontaina).

Nie wiem, gdziem ja to czytał, ale mniejsza o to.
Miał jeden młynarz osła: tak zmęczył robotą,
Iż nie wiedząc co robić,
Wolał przedać, niż dobić.
Woła syna wyrostka, co go w domu chował,
I rzecze: żeby się nasz osieł nie zmordował
W długiej drogi przeciągu,
Zanieśmy go na drągu.
Dźwiga stary i stęka, chłopiec jeszcze gorzej.
Im szli dalej, im szli sporzej,
Tem srożej trud uciemiężał,
Tem bardziej im osieł ciężał.
Gdy to spostrzegli,
Ludzie się zbiegli,
Śmiechy się wzniosły:
Wzdyćto trzy osły!
A ten najmniej, co na drągu.
Nie kontent młynarz z zaciągu,
Rozumu się poradził,
Syna na osła wsadził.
Aż pierwsi, co napotkał, nuż się gniewać o to.
Ty na ośle, niecnoto!
Rzekli do chłopca, a stary pieszo!
Więc do kijów gdy się śpieszą,
Aby ich złość nie uniosła,
Zsadził syna, siadł na osła.
Przechodziły dziewczęta, mówi jedna drugiej:
Patrz biedny chłopiec, jak do wysługi
Ten stary go używa.
Dziecię z pracy omdlewa,
A dziad niemiłosierny,
Choć dzieciuch tak mizerny
Pieszo go iść przymusza.
To starego gdy wzrusza;
Wsadził chłopca za siebie.
Że dogodził potrzebie,
Jedzie, kontent z wynalazku,
Ledwo co wyjechał z lasku:
Znowu krzyk: jacy to głupi!
A kto od nich osła kupi?
Podróżą go udręczą,
Ciężarem go zamęczą:
Chyba skórę przedadzą.
Nie źle oni coś radzą,
(Rzekł młynarz) chociaż i łają.
Więc z synem z osła zsiadają.
Aż znowu mówią przechodnie:
A któżto widział, aby wygodnie
Osieł szedł wolno, a młynarz za nim,
Wybacz bracie, że cię ganim;
Każdy z ciebie śmiać się będzie,
Jak się nie poprawisz w błędzie.
Nie poprawię rzekł młynarz, dość przymówek [zniosłem,
Chciałem wszystkim dogodzić i w tem byłem osłem,
Odtąd, czy kto pochwali, czy mnie będzie winił,
Nie będę dbał nic o to; co chcę będę czynił.
Co rzekł, to się ziściło,
I dobrze mu z tem było.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Rozkład pracy na wrzesień. W tym miesiącu jest dla gospodyni wiele pracy, dojrzewają owoce zwłaszcza śliwki węgierki, te najpożyteczniejsze ze wszystkich owoców. Najpierw, kiedy są jeszcze niedojrzałe, robi się konfitury, następnie kompoty czyli konserwy, a gdy już zupełnie dojrzałe, suszy się je na lasach lub w cukrze, a kiedy już pękają, od słodyczy i dojrzałości, robić trzeba powidła; powidła można robić na wpół z jabłkami, kto ma dużo jabłek. Bruski, tak zwane gogodze, są najlepsze z początkiem września. Można je smażyć na konfitury lub galaretki. Galaretki są znakomite, bo bruski posiadają bardzo wiele części galaretowatych. Arbuzy i dynie smażyć do przekładania placków lub na suchą konfiturę. Pomidory są najpiękniejsze we wrześniu, z dojrzałych robić marmoladę, lub przechować w słonej wodzie, zaś zielone, jeżeli ich jest na tyle, że nam

nie będą potrzebne to narobić w baryłeczkę, podobnie jak ogórki są wybornem dodatkiem do mięsa w zimie. Korniszony koniecznie w tym czasie marynować. Rydze i grzyby jesienne są w obfitości, solić więc, marynować i suszyć, nie zwlekając na później, bo jeżeli jesień zimna i słotna, to można zostać na zimę bez tych specyałów. Orzechy laskowe i włoskie zbierać i suszyć. Wrzesień, miesiąc chłodniejszy, obfitujący w nabiał. masło wrześniowe jest bardzo dobre, równa się masłu majowemu i jest najlepsze na zapas zimowy, można także jeszcze robić sery, uważając, aby nie zostawały w bardzo zimnej temperaturze, bo jeżeli mają być dobre, to potrzebują ciepła do 18^0 R. Grochy szablaste łuskać i suszyć. Cebulę dla bezpieczeństwa wykopać i na strychu przeruszać. We wrześniu zaczynają się już długie wieczory, po oborach i stajniach świeci się już wieczorami, pamiętać więc trzeba, aby lampy były zawsze rano czyszczone i nalewane, nie dopiero wieczór, kiedy już czas zapalać, bo tylko w ten sposób można mieć dobrze palące się lampy i wypadku być nie może co często bywa, jeżeli się lampy czyści i nalewa naprędce przy wieczornem świetle. Co do zimowania warzyw to buraki, marchew, kartofle itp. najlepiej zimować w kopcach nie wygłębianych, zaś warzywa przechowane w piwnicy, dołować w takim, który był wygrzany na słońcu. Kończyć zbiór nasion, nasiewniki ogórków ułożyć na słońcu, a gdy dojrzeją i zaczną gnić, wtedy je wydrążyć a po kilku dniach opłukać w wodzie i suszyć. Najładniejsze okazy warzyw ułożyć bardzo pięknie w piwnicy w piasku, zostawiając je na nasienniki t. j. wysadki na rok przyszły. We wrześniu i październiku kończą się prawie wszystkie większe zajęcia gospodyni. Wieczory są coraz dłuższe, można też pomyśleć o jakiej robocie ręcznej na wieczór dla dziewcząt, masę byłoby takich rzeczy, o których to dziewczęta powinny pomyśleć. Zachwycamy się, jeżeli za granicą widzimy, jak wiejscy gospodarze i gospodynie jadą do miasta. Wóz porządny, siedzenie dobrze zrobione, w środku wozu nakryte porządnie kocem lub derką ręcznej domowej roboty. Tam gospodyni, gdy zejdzie z wozu, nie potrzebuje odzienia otrzepywać ze słomy lub siana; ona zejdzie czyściutka i świeżutka, bo jej droga sukienna spódnica wnet by się jej zniszczyła.

Widzimy to i u nas, bo jeżeli żyd swoją Surę lub Gołdę do miasta wiezie, to jej zrobi porządne siedzenie i kocem je okryje. A czy nasze gospodynie są co gorszego od takiej Sury lub gospodyni za granicą? Czy u nas to być nie powinno i nie może? Prawie w każdym domu są różne kawałki, resztki, wkońcu rzeczy stare, które już do niczego innego zdatne nie są, należy je tylko uprać, pociąć w paski mniej więcej 2—3 cm szerokie, pozeszywane razem na długość; pozwijać w kłębek, jak bawełnę, następnie ustrugać sobie dwa kołeczki tak grube jak palec; ale dosyć długie i robić z tych strzępków kocyki w ten sposób, jak się robi na dwóch drutach podwiązkę. Lub też zrobić sobie z patyka szydełko i robić kocyk szydełkiem w same tęgie oczka. Kocyki takie są łatwe do zrobienia, są tanie, ładne, praktyczne, bo piorą się łatwo i jeżeli porządnie zrobione, to są nawet bardzo trwałe. Można je także po zeszyciu dać zrobić na warsztacie tkackim, ale to jest kosztowniejsze i trudniej o to. *L. Hałacińska.*

Ostrzeżenie przed zakupnem nisko procentowych i mało wartościowych nawozów sztucznych. Od kierownika kraj. stacyi chem. rol. w Dublanach otrzymujemy następujące pismo: Wielokrotnie zwracaliśmy się do ogółu rolnikow z ostrzeżeniem przed zakupnem nisko procentowych, mało wartościowych, często i bezwartościowych nawozów. Niestety zamiast, aby handel tymi nawozami zmniejszał się, z roku na rok rozprzestrzenia się coraz bardziej po kraju. Niesumienni agenci i handlarze korzystając z nieświadmości rolników, a zwłaszcza włościan o rzeczywistej wartości nawozów, wszel-

kimi sposobami wpychają im ten lub ów nawóz po wysokiej cenie 6—10 kor. za 100 kg., który faktycznie po przeprowadzonej analizie przedstawia zaledwie wartość 50 hal. do 1 kor. Ponieważ w ostatnich latach największem wzięciem wśród rolników cieszą się żużle Thomasa (tomasyna), których rocznie rozchodzi się w Galicyi kilka tysięcy wagonów, nie dziw, że w handlu tym towarem dzieją się największe nadużycia, popełniane ze strony sprytnych handlarzy, zwłaszcza, że prawdziwa tomasyna wyglądem zewnętrznym zupełnie się nie różni od bezwartościowego lub mało wartościowego towaru sprzedawanego w workach zaopatrzonych w najrozmaitsze fałszywe napisy i znaki. Również i w handlu superfosfatami i mączkami kostnemi dzieją się podobne nadużycia.

Aby się jednak rolnicy mogli skutecznie ochronić przed takiemi fałszerstwami, panującemi w niesumiennym handlu nawozowym, należy przy zakupnie żądać koniecznie od sprzedawców: 1. pisemnej gwarancyi na zawartość składników w danym nawozie, 2. próbkę zakupionego nawozu pobrać wobec świadków i przesłać wraz z pisemną gwarancyą do stacyi chemicznej, która zbada czy rzeczywiście zawartość składników odpowiada gwarancyi danej przez kupca. 3. podać cenę towaru zakupionego, 4. kupować nawozy zbiorowo, wagonowo u firm rzetelnych, kontrolowanych przez stacye, 5. przy zakupnie żużli Thomasa. żądać od sprzedawcy gwarancyi na zawartość kwasu fosforowego, ropuszczonego w kwasie cytrynowym, 6. przy superfosfatach mineralnych żądać gwarancyi na zawartość kwasu fosforowego, rozpuszczonego w wodzie. 7. przy superfosfatach kostnych, amoniakowych i mączkach kostnych preparowanych żądać gwarancyi jak pod 6 i na zawartość azotu, 8. przy mączkach kostnych niewyklejonych i wyklejonych żądać gwarancyi na zawartość kwasu fosforowego i azotu. Wartość nawozu jest jedynie zależna od zawartości pożytecznych dla rośliny składników, które jedynie oznaczyć można przy pomocy analizy chemicznej. Zwracamy uwagę że Kółka rolnicze, gminy i włościanie zakupujący zbiorowo nawozy, mogą korzystać z bezpłatnej analizy.

O wpływie paszy na smak i barwę mięsa i jaj drobiu. Wpływ ten znany jest oddawna i uwydatnia się najbardziej między ptactwem dzikiem, a domowem. Mięso pierwszych jest białe i smaczne, drobiu domowego więcej żółte i mniej smaczne. Przyczyną tego jest bezwątpienia różnica w pokarmie. Podczas gdy drób domowy przeważnie żywi się strawą roślinną, to dzikie ptactwo przeważnie pokarmem pochodzenia mięsnego. Zauważyć nieraz można, że ptactwo domowe wypuszczone na wolny żer, powraca z wolami i żołądkiem wypełnionym robaczkami, muchami, gąsienicami, poczwarkami, a w małej ilości ziarnem. Mięso ptactwa domowego różni się też, jak mówiliśmy i barwą i smakiem od mięsa ptactwa dzikiego; toż samo powiedzieć można o jajach. Jajo pochodzące z kury wykarmionej mięsem zawsze jest świeże, a żółtko ma kolor ciemno pomarańczowy. Kury domowej, nie wypuszczanej na wolne pole, jajo jest mniej trwałe, ma mdły smak i zapach, a żółtko jest blado żółte. Dlatego rolnik, który pozwala ptactwu wybiegać wolno na pole, większe zyski osiąga przez lepszą jakość ptactwa.

Woda dla kur. Pojenie zwierząt domowych uważane jest w wielu gospodarstwach za rzecz podrzędną, nie wartą uwagi. Aby zaś poświęcać trochę uwagi pojeniu ptactwa domowego, o tem prawie nikt ani nie pomyśli. Pochodzi to stąd, że dotąd jeszcze nie posiada ptactwo domowe tego znaczenia w gospodarstwie, jakie mu się ze względu na jego pożyteczność należy.

A tymczasem, gdy zważymy, jaką wielką rolę odgrywa woda w utrzymaniu organizmu zwierzęcego, gdy nadto zważymy, że jaja, jakie kura wytworzyć musi, w większej części z wody się składają, natenczas pojmiemy, jak wielkie znaczenie ma woda w hodowli i utrzymaniu kur.

W wielu gospodarstwach kury zaspokajają swe pragnienie w kałużach przez deszcze utworzonych, albo w ściekach, którymi spływa gnojówka ze stajni. Gdy zaś nadejdą mrozy, to biedne kury śnieg i lód dziobać są zmuszone dla zaspokojenia pragnienia. Skutek takiego braku wody do picia jest przedewszystkiem brak jaj, a co gorsza, że i gromadne zdychanie kur prawie zawsze jest spowodowane brakiem dobrej, zdrowej wody do picia.

Zatem naczynia do wody dla ptactwa domowego to sprzęty niezbędne w gospodarstwie, tak samo, jak żłoby do pojenia bydła i koni. Naczynia te nie mogą być wysokie, aby kury nie potrzebowały wzlatywać, gdy czują pragnienie. Powinny one znajdować się w kilku miejscach podwórza, aby ptactwo o każdym czasie, nie szukając daleko, pragnienie zaspokoić mogło. Wodę zmieniać trzeba codziennie, latem, w czasie upałów nawet kilka razy dziennie. Zimą należy wodę trochę ogrzać, tyle, aby nie była mroźno zimną.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Brak chęci do jadła u świń. Zdarza się często, że świnia nie bierze się chętnie do jadła. Wsadzi ryj do koryta po same uszy, przeszuka za smaczniejszymi kąskami, a wreszcie większą część karmy z koryta wywali. Powodem tego nie bywa choroba, lecz najczęściej podawanie jednej i tej samej karmy, bez zmiany przez czas dłuższy, albo oparzenie pyska lub żołądka karmą zbyt gorącą, albo wreszcie i to zdarza się najczęściej, że karma jest skisła, że koryto lub cebrzyk nie oczyszczone z niedojaków z poprzedniego dnia, zakwaszają jadło świeże.

Poznawszy przyczyny, łatwo będzie zaradzić stratom, mogącym z tego powodu wyniknąć. A więc dbać należy, by wszelkie naczynia, z których trzoda jada, były czyste i nie zakwaszone. W tym celu trzeba je co kilka dni, dobrze szczotką wyszorować i wrzącą wodą wyparzyć, co dnia zaś niedojadki starannie usuwać, a gdy się weń woń kisielizny z koryt wydobywa, wybielić je wapnem, a świniom dać nieco mleka z dodatkiem sody lub soli glauberskiej. Dobrze będzie również dać im do koryta garść węgli drzewnych.

Praktyczny sposób tępienia ślimaków polnych. W mokre lata pojawiają się ślimaki na polach, a także i łąkach i mogą stać się prawdziwą plagą, bo młode rośliny chciwie pożerają i pola w ten sposób ogałacają.

Niejeden środek przeciwko ślimakom polecono, lecz najskuteczniejszym miał się okazać kainit. Pewien rolnik, wykonywujący po raz pierwszy doświadczenia ze sztucznymi nawozami, wysiał także kainit na pole ślimakami silnie nawiedzone, przyczem zrobił on takie spostrzeżenie: skoro sól na ślimaka padła, lepka powłoka tego wzburzyła się i zdawało się, że ślimak mocno jest podrażniony. Po rozsianiu kainitu po całem polu można było widzieć masę ślimaków walczących ze śmiercią, które też niebawem zdychały. Na mocy tego doświadczenia rozpoczęto w całej wsi walkę ze ślimakami za pomocą kainitu z wielkiem powodzeniem.

Jak karmić robocze zwierzęta? Im bliżej ku jesieni, tem krótsze dni, a że przybywa robót sprzężajnych, więc silniej trzeba karmić sprzężaj. Pamiętajcie więc!

1. Wieczorny obrok wyściela żebra, — poranny, wyściela drogi.

2. Karma, spożyta wieczorem, wzmacnia mięśnie, — karma, spożyta bezpośrednio przed robotą, przymnaża kału.

3. Karmę treściwą skarmiać należy w $^2/_3$ częściach po robocie, a trzecią część rozdzielić na poranny i południowy popas.

4. Zwierzę musi karmę strawić, w soki ją wchłonąć, by nabrać sił. W dzień pracuje ono siłą, zdobytą poprzedniego wieczora.

5. Soki żołądkowe zwierząt zmęczonych

uboższe są w kwas solny, aniżeli zwierząt wypoczętych, mają więc słabszą siłę trawiącą.

6. Praca pospieszna bezpośrednio po nakarmieniu sprowadza zwykle zaburzenia w trawieniu, kolki i t. p. cierpienia.

7. Bezpośrednia praca po nakarmieniu przeszkadza trawieniu, odwraca ona potrzebną w czasie trawienia w żołądku i trzewiach krew ku mięśniom pracującym.

8. Praca, przedsiębrana z konieczności zaraz po nakarmieniu, musi być powolna, inaczej prócz przeszkód w trawieniu, łatwo u przeżuwaczy powstrzymać może przeżuwanie.

9. Im większa ilość karmy, im szybsza i bardziej wytężająca praca, tem niezbędniejszy jest odpoczynek po nakarmieniu.

10. B o z a s a d ą g ł ó w n ą j e s t: p o n a k a r m i e n i u d a ć z w i e r z ę c i u o d p o c z y n e k.

Ochrona kur przed lisem. Oryginalny środek na odstraszenie lisów wynalazł pewien obywatel. Oto uwiązał kogutowi na szyi dzwonek, z którym ten dumnie spaceruje dzwoniąc nieustannie. Sposób ten ma być doskonały; podobno od tego czasu ani jeden lis nie pokazał się w tym kurniku. Lecz nietylko lisy, ale łasice, tchórze, kuny i inne wrogi ptactwa domowego trzymają się od tej pory z daleka.

Grzyby jako pokarm. Przy spożywaniu grzybów należy zwracać uwagę na to, że niektóre z nich mają własności trujące i dlatego tylko takie grzyby można spożywać, o których się wie na pewne, że są jadalne i nieszkodliwe. Najpospolitsze z nich są grzyby „prawdziwe“, podpieńki, pieczarki, rydze i smardze.

Wszystkich innych grzybów, których się dobrze nie zna, lepiej jest unikać, bo setki wypadków otrucia się grzybami zdarza się co roku po wsiach, dlatego też przestrzegamy jeszcze raz: „Nie jeść nigdy grzybów takich, których się nie zna“. *S. W.*

Grzyby solone. Młode grzyby obgotować w ukropie i przelać zimną wodą, osuszyć na przetakach, poczem układać w kamiennym słoju, przesypując miałką solą każdy rząd grzybów, ułożonych tak, jak rosną, przycisnąć je suchem denkiem i kamieniem, a skoro się uleżą, dokładać więcej do pełności; zalać wtedy topionym łojem baranim, zawiązać papierem i trzymać w zimnej spiżarni. Chcąc je przyrządzić, należy przed gotowaniem namoczyć w letniej wodzie, lub mleku, przynajmniej na parę godzin przed gotowaniem. Jeżeli w soli stoją od dłuższego czasu, należy je moczyć przez 24 godzin, często wodę odmieniając, co nie zmieni ich smaku. Również można podczas gotowania dodać trochę suszonych grzybów, a będą miały smak zupełnie świeżych.

Suszenie grzybów. W licznych okolicach, gdzie grzyby znajdują się w obfitości, zwłaszcza w latach wilgotnych, nie tylko grzyby świeże podawane bywają na stołach gospodarskich, ale gospodynie starają się mieć zapas grzybów suszonych, już to dla własnego użytku, a także na sprzedaż, gdyż na grzyby suszone łatwo znaleźć można w miastach chętnych nabywców.

Suszenie grzybów jest rzeczą bardzo prostą: suszą je na słońcu i w przewiewnych miejscach, nawlekając na sznurek w tak zwane wianki, albo też suszy się je w piecu po upieczeniu chleba, układając grzyby na blachę. Ażeby jednak grzyby na blasze nie przypaliły się, bo straciłyby przez to na wartości, to na spód blachy trzeba podścielić cienką warstwę słomy. Można też suszyć grzyby, wieszając wianki na kuchni.

Oprócz grzybów prawdziwych, można także suszyć podpieńki, wprawdzie nie na sprzedaż, ale na własną potrzebę.

Środek przeciw cholerze drobiu. „Od lat 14 zajmuję się gospodarstwem domowem. Od lat 14 słyszę i czytam ciągle narzekania na pomór drobiu. Sąsiadom moim udzielam rad i dziękują mi za nie, bo w moich kurnikach nie znają wcale zarazy, proszę więc dla dobra naszych gospodyń wydrukować co następuje:

Na 400 sztuk drobiu (mamy przeważnie kuryi kaczki, ale stosowałam to do perliczek i indyków z powodzeniem) daję każdego pierwszego dnia miesiąca 4 szklanki jałowcu i 2 pieprzu drobno utłuczonego, wymieszanego z jakąkolwiek osypką, otrębami, z kwaśnem mlekiem lub serwatką, na czczo zaraz po wypuszeniu z kurników.

Nigdy, absolutnie nigdy, drób u nas nie ginie. Oczywiście utrzymujemy kurniki czysto, wodę ma drób studzienną, węgiel drzewny i wapno w grudkach ma stale wysypane w blizkości kurników, piasku też dużo mu się daje, a kurniki codziennie są wymiatane, a raz na miesiąc wapnem bielone. Zimą wyścielam grubo w kurnikach zawozem ze stajni końskiej, nawóz ten w czasie mrozów silnych, codziennie z lekka przykrywa się czystą słomą, a świeży się daje, stury zaś usuwa się na komposty. Kury tym spo- sposobem mają ciepłe nogi, niosą się dobrze, i nigdy nie podlegają zarazie.

Jak zużytkować mąkę ze zrosłego zboża, aby chleb z niej był? Na to pytanie taką radę daje jedna z naszych gospodyn: Przedewszystkiem trzeba tę mąkę wysuszyć na gorącej blasze aż do żółtości, a gdy wystygnie, rozczynić gotującą się wodą, a po wystygnięciu się ciasta, dać drożdże i bardzo tęgo wymięsić. Piec chlebowy dobrze wypalić, daleko mocniej, aniżeli na chleb z dobrego żyta. Gdy się dobrze zrumieni, przykryć z wierzchu papierami, aby się skórka wierzchnia nie przypaliła; z pod spodu ma się skórka dobrze zrumienić.

Ogórki kwaszone, są nietylko dobrym dodatkiem do mięsa, ale w dnie postne dopełnić mogą obiady postne.

Kwasi się ogórki w beczkach dębowych. Przeznaczone do kwaszenia ogórki muszą być najpierw czysto wymyte, a następnie nadpsute lub mające skazy należy odrzucić. Spód beczki wykłada się liśćmi dębowymi, wiśniowymi, koprem, a także dodać można kilka ząbków czosnku. Na to nałożyć ogórków, poczem przekładać drugą warstwą liści i kopru jak poprzednio. Takich warstw liści ma być w beczce trzy. Gdy ogórki nałożono aż do wierzchu, należy w beczce wstawić dno, następnie otworem, wywierconym w dnie beczki, nalewa się słonej wody, a to w takim stosunku, że w 20 garncach wody rozpuszcza się 2 kwarty soli. Tą ropą nalewa się beczkę ile się zmieści, poczem się ją zaszpuntuje uważać przytem jednakże należy, ażeby ropa nie wyciekła nigdzie z beczki, gdyż popsułyby się ogórki. Beczkę postawić w piwnicy na drewnianych podstawkach, obracając co tydzień ażeby ogórki równomiernie kwaśniały. Po kilku tygodniach ogórki gotowe są do użycia, Ktoby chciał ogórki przechować dobrze aż do lata, to niech beczkę zatopi w studni albo w stawie, a ogórki przechowają się doskonale.

Przeciw myszom i szczurom. Dziewanna, roślina wysoka, żółto kwitnąca, będąca dla ludzi lekarstwem, jest trucizną dla myszy i szczurów. Trzeba wziąć dziewannę z kwiatem, liśćmi i korzeniami i kłaść w izbie, śpichlerzu, sklepie, stodole i wogóle wszędzie, gdzie się znajdują te uprzykszone zwierzęta — to wnet się wyniosą i nie wrócą więcej.

W ostatnim numerze w dodatku „Powieściowo-naukowym“ na str. 33 zaszła pomyłka. Jest artykuł pod tytułem: „O truciznach w pokarmach“, tymczasem nie jest to artykuł nowy, ale dalszy ciąg artykułu o chorobach ludu wiejskiego i powinien być tyłuł: „Jakie są przeważnie przyczyny zwykłych chorób ludu wiejskiego. (Ciąg dalszy).

ADMINISTRACYA

przypomina, prosząc o nadsyłanie zaległej prenumeraty i jednanie nowych prenumeratorów.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera, Kraków.

DODATEK POWIEŚCIOWY*)

DO NR. 8 i 9 „PRZODOWNICY" ZA SIERPIEŃ I WRZESIEŃ 1908 R.

MARNOWANE SKARBY.

„Zaprzęgajcie bracia moi
„Cztery konie siwe,
„Pojedziemy, by dogonić
„Me lata szczęśliwe,
„A jak wy ich dogonicie
„Na dębowym moście,
„Proście, niech się wrócą lata
„Choć na chwilę w goście.

. . . .

. . . .

„Oj, nie wrócą lata młode
„I daremne żale —
„Prędzej, niźli Wisły wody
„Płyną czasu fale".
(Z piosenek ludowych).

Umieć żyć dobrze, jest to być człowiekiem i rozumnym i szlachetnym. Więc też od dawnych i najdawniejszych lat pracują ludzie nad tem, ażeby nauczyć żyć dobrze. A jednak ciągle, na każdym kroku mamy liczne tego dowody, iż ci i tamci źle czynią, błądzą, mylą się i marnują te wszystkie skarby, które życie z sobą przynosi.

A skarbów tych nie mało ginie i przepada, bez żalu i bez troski, ażeby je odszukać.

Niech zginie jeden halerz, niech zgubi się kurczątko, niech snop jeden zboża zmarnuje się, już żalu i troski nie mało.

Ale gdy giną lata całe, gdy marnują się talenta i zdolności, gdy siły i skarby naszego życia zostają źle użyte i na marne pójdą, wtedy nikt nie płacze i nikt nie żałuje.

Każdy dzień naszego życia dobrze użyty, jest skarbem, mnożącym nasze szczęście. Każdy dzień naszego życia źle użyty, jest podeptaniem cennego skarbu.

Anglicy posiadają przysłowie bardzo mądre: „Żyć — to uczyć się! Dlatego też Anglicy uczą się, zdobywają świat, wszystkim innym narodom wskazują drogi, bo umieją ze skarbów życia korzystać.

My narzekamy ciągle i żalimy się, iż życie nasze biedne, smutne, w trosce o chleb, o dach, o przyszłość naszych dzieci, a nie chcemy tego zrozumieć, iż wszystko zmienić na lepsze potrafimy, gdy będziemy umieli szanować te skarby, które życie daje.

Żyć, byle żyć, byle jeść, ubrać się, jako tako na chleb zapracować, jako tako zabawić się, jako tako oświecić się, to nie jest życie prawdziwe, ale liche jego naśladownictwo.

Nie pożałujmy godzinki czasu, pogawędzimy o tem, jak żyć należy, ażeby skarbów nie marnować lecz je zbierać i mnożyć. Gdyby kto powiedział kobiecie: idź grzebać w piasku nad rzeką, znajdziesz tam bardzo wiele korali przepięknych, to ona by od świtu do nocy, na klęczkach, krwawiąc ręce i kolana, nie zważając na żar południa, ani na zimno mrozu, zbierała i szukała wśród tysiąca ziarn, byle jedną paciorkę koralu odszukać.

Gdyby kto powiedział gospodarzowi: Idź przekopywać górę skalistą i kamienną, znajdziesz tam złotych groszy wiele, toby pracował i mozolił się wytrwale, zanimby odnalazł dukat jeden marny.

A życie przynosi stokroć większe i bogatsze skarby i dary jak paciorki korali lub dukatów blaszki złociste. Życie wszystko co najpiękniejsze, najwznioślejsze, najcenniejsze stawia przed nami i powiada: bierzcie!....

*) Zamiast obrazka podajemy w tym Nr. „Przodownicy" całą piękną pogadankę o „Marnowanych skarbach".

Lecz my nie umiemy zbierać, a potem, jak powiada piosenka ludowa, z płaczem wołamy:

— Niech się wrócą lata nasze młode! niech się wrócą owe dni, w których szczęście było przed nami, nie za nami!...

Lecz w tem właśnie największy smutek, iż życia chwili nikt nie wróci. I co zostało ze skarbów tego życia zmarnowane, już się nie znajdzie. I dlatego tylu ludzi jest nieszczęśliwych i tyle niedoli dookoła, iż ci, co żyć uczyli, nie nauczyli szanować darów największych, zdrowia — czasu — silnej woli i wytrwałości w pracy.

Są to podstawy, podwaliny życia dobrego.

Są to konieczne i niezbędne warunki do uchowania i mnożenia skarbów, które życie przynosi i rozdaje.

Ażeby nie nudzić, będziemy się starali gawędę naszą o marnowanych skarbach, o ile można, w krótkości opowiedzieć.

Nie trzeba zaprzęgać czterech karych koni, ażeby gonić za zmarnowanymi latami, tylko trzeba zrozumieć, jak życiem kierować należy, ażeby ono skarby nam przynosiło, a nie zabierało.

„Szlachetne zdrowie!
„Nikt się nie dowie
„Jako smakujesz,
„Aż się zepsujesz!“
(Krasicki).

„Niektórzy ludzie własnemi
rękoma kopią sobie grób“.
(angielskie przysłowie).

Skarb nad skarby, szczęście ponad wszystkie złudy szczęścia daje życie każdej jednostce, gdy zdrowie mu przynosi. Jeżeli dziecko na świat przyszło zdrowe — ma otwarte wrota do wszystkich skarbnic życia i czerpać z nich będzie mogło bez końca.

Lecz na nieszczęście, prawie od pierwszych chwil życia wszystko się ku temu przyczynia, ażeby zdrowie dziecka nadwyrężyć i niszczyć. Matka wychowuje dziecko w brudzie i niechlujstwie, karmi je nieumiejętnie, bije w gniewie bezlitośnie, dzieci drugie je noszą niezręcznie, wykrzywiają młode kości, sąsiedzi poją wódką, krewni opychają niezdrowemi łakotkami i tak dalej, i tak bez końca, tysiąc przyczyn na to się składa, ażeby zdrowie zepsuć i skarb zmarnować.

Złe upowicie, wilgotne izby, niechlujna odzież, bicie i przemęczanie dziecka pracą nad jego siły, obżarstwo, łakomstwo, lenistwo, to także czyha na to, ażeby jak najrychlej życie młode z skarbu zdrowia obrabować i niby nędzarza na dalszą drogę puścić.

„Jeszcze nie zrobiono takiego pióra, ani ręki takiej nie wprawiono w piśmie“, któraby była zdolna opisać, wiele ludzi nad tem pracuje, ażeby i sobie i drugim zdrowie odebrać.

A czyż zdrowie to nie skarb ponad wszystkie skarby i nie dar ponad wszystkie dary?...

Czyż dlatego, iż za te piękne, jasne zdrowe oczy nie zapłaciliśmy ani korony, nie szanujemy ich tyle, ile szanujemy gęsięta na pastwisku, gdy każemy dziecku bez kapelusza na głowie siedzieć godzinami, ażeby gęsi pasło?... Wszak w blasku nadmiernym oczy się psują, wzrok słabnie, skarb wielki się niszczy... lecz mniejsza o to, gęsi są warte po 3 korony za sztukę, niech dziecko pilnuje.

Za oczy nie płaciło się nikomu, więc niech dziecko pisze zadanie przy kopcącej lampie, bo szkoda wydać na dobrą lampę i na naftę czystą 4 korony... a wzrok przy złem oświetleniu psuje się i niszczy!...

Tak samo w rozlicznych bywa wypadkach.

Za zdrowe płuca nie zapłaciło się jeszcze ani korony, ale za cielę można dostać 20 koron, więc niech Jasiek leci bez tchu w ten mroźny wicher, ażeby cielę schwycić, bo gdyby sąsiad obaczył je na oziminie, uderzy.

Za zdrowie dziecka nie zapłaciło się jeszcze ani korony, ale za buty trzebaby zapłacić z pięć koron, więc niech do szkoły chodzi w śnieg boso, mniejsza o to, że kaszle i „dusi“ go nocami.

Myślą ludzie, iż takie wszystkie wybryki

nie zaszkodzą zdrowiu, gdy dzieci nie umierają zaraz. Jednak nietylko to jest ciężką chorobą, co odrazu śmierć sprowadza. I nietylko to jest kalectwem, co odrazu oczy oślepia albo ręce skurcza.

Zdaje się niejeden raz, oczy niby zdrowe i widzą, a jednak już one swej mocy i siły nie mają. Zdaje się piersi zdrowe i ręce silne, a jednak już organizm nadwyrężony i skarb zdrowia okradziony. A jeśli tylko choroba wciskać się poczęła, wszystkie zdolności i talenta ludzkie słabną, wytrwałość się zmniejsza i życie traci niezmiernie wiele z swej potęgi. Ludzie zdrowi i silni są wytrwali w pracy, mają pamięć zdolną do zdobywania wiedzy, wykonywują wielkie prace, usposobienie posiadają pogodne, nie lękają się trudów, są pożyteczni dla narodu i rodziny, sami dla siebie nie stają się ciężarem.

Nic zaś smutniejszego i boleśniejszego nad widok tych ludzi, którzy stracili skarb nieoceniony — zdrowie!!...

Gdy sąsiad sąsiadowi zaorze skibę na miedzę graniczną, cała wieś oburza się i gniewa na nieuczciwy postępek. I sąd musi nakazać, ażeby tę skibę odorano, ażeby wrócono właścicielowi skarb jego, kilka piędzi ziemi, ażeby sprawiedliwość czuwała nad własnością każdej jednostki. Ale gdy sąsiad sąsiadowi nie kilka piędzi ziemi, ale zdrowie jego zabiera przez to, iż go poi i do pijaństwa zachęca, wtedy nikt sądu w gminie nie wyprowadza, ani o powstrzymanie przed krzywdą nie woła.

Gdyby matka swą córkę wydziedziczyła i ani jednego zagonu z swej ojcowizny na wiano nie dała, ani jednego sznura korali nie odplotła z swoich bogactw, wszyscyby we wsi mówili: — skrzywdziła swoje dziecko! Ale gdy matka córkę swą biciem i przemęczaniem w pracy nad siły wydziedziczyła ze zdrowia, to nikt nie powie: — krzywdę je uczyniono.

Zdrowie jest skarbem. Ale skarb ten nietylko do mnie należy, lecz także jest skarbem narodu i Ojczyzny. Czem więcej będzie w narodzie ludzi zdrowych i silnych, tem będzie kraj bogatszy i szczęśliwszy, bo bardzo mądrze powiedział Ruskin, angielski pisarz:

— „Należałoby wpajać w ludzi przeświadczenie, że prawdziwe żyły bogactwa są czerwone, nie zaś złote, i istnieją nie w głębi skał, lecz w głębi ciał ludzkich“.

Bo też istotnie, siły ludzi cenniejsze i droższe są nad kopalnie i kruszce; ta krew, która porusza nasze serca, odżywia organizm tysiąckrotnie, jest cenniejszą od skarbów kamieni drogich i kruszców szlachetnych. Lecz byle jeden gwóźdź żelazny bywa dla nas nieraz cenniejszym nad zdrowie nasze własne i byle jaki grosz zdaje się nam więcej wart jak nasze lub naszych dzieci zdrowie. Chaty nasze jeszcze nie mają tyle światła słonecznego, ile potrzeba dla zdrowia ludzkiego Nasz chleb i pokarm codzienny nie przynosi tych odżywczych soków, które są potrzebne do podtrzymania organizmu w zdrowiu. Nasza praca nie jest prowadzona w tym programie, który szanuje siły i zdrowia nie nadwyręża. Lecz co najważniejsze, nasze zabawy nie umieją być roztropnie prowadzone tak, ażeby zdrowiu nie szkodziły, lecz owszem, pomagały.

Są tacy, którym się zdaje, iż gdy zdarzy się sposobność do zabawy, to już o wszystkiem wtedy na świecie wolno zapomnieć, byle się bawić, jak to mówią: „na śmierć“, „na umor“!... I nigdy ludziska tyle siły życia nie marnują przy pracy, ile stracą przy zabawie. Jak wesele we wsi, to już wesele bez miary, bez końca, bez rozwagi, aż się trunkami ciało spali, aż się po pijanemu pobiją i pokaleczą, aż bez pamięci i przytomności znajdą się gdzieś w rowie, albo w szynku pod ławą! A potem matka chodzi stroskana i powiada:

— Urzekli mi syna jak drużbował, uroki mu przez zazdrość zadali, dusi go nocami, dychawicę dostał.

Zmarnowany skarb zdrowia za jedno wesele, toż to strata nigdy nie zwrócona i już

nie odzyska się dawnej siły i już życie jak kosą podcięte...

Każdy przyzna, iż człowiekowi rozweselenia i pociechy w życiu trzeba. Każdy rozumie, iż zabawa jest potrzebna, ale trzeba umieć zachować miarę. Przedewszystkiem zaś należy już o tem wiedzieć, iż do wesołej zabawy i przyjemnego wypoczynku nie potrzeba koniecznie napoju.

Już czas, byśmy umieli się żenić bez beczek piwa, chrzcić dzieci bez wódki, grzebać umarłych bez szynków i żyć bez trucizny, wlewanej kropla po kropli, kieliszek po kieliszku.

Czas już, byśmy w dzieciach naszych umieli szanować te ogromne skarby, którymi mogą kraj i naród uszczęśliwiać, a więc dlatego strzegli te dzieci od wszystkiego, co może ich zdolności osłabić, siły nadwyrężyć i życie im skrócić.

Powiadają, iż w Chinach kto chory, płaci karę za to, iż swego zdrowia nie umiał uszanować.

My wszyscy, którzy nierozważnie i lekkomyślnie zdrowie nasze nadwyrężamy, powinniśmy być karani, bo marnujemy skarb pożyczony i na pomnożenie, a nie na zatracenie nam oddany.

Nie wolno mówić lub myśleć:

— Co komu do mego zdrowia, mej chaty, jedzenia, pracy i zabawy?...

Owszem! Każdy w Ojczyźnie ma prawo czuwać nad tem, ażeby ludzie mieli zdrowe i jasne mieszkanie, posilny i czysty wikt, aby praca im sił nie niszczyła, a zabawa i swawola nie zabijała ludzi.

Szlachetni i wielcy wśród narodów byli właśnie ludźmi takimi, którzy nie zmarnowali sił życia na marne zabawy, na pijatyki bezwstydne, na bicie się z sąsiadami lub na przesiadywanie w więzieniach, ale siły zdrowia i życia nieśli na pożytek Ojczyźnie i narodowi.

Opowiadają (w pewnej bajce), iż był młyn czarodziejski, który miał moc przemieniania starych w młodych i przez to wracał znowu falę życia wstecz. Ludzie, którzy przechodzili przez ten młyn, wychodzili dziećmi i zaczynali żyć na nowo. Więc pewna staruszka nad grobem stojąca, przyszła także do owego młyna i rzekła:

— Chcę być młodą i żyć na nowo.

Człowiek, który kierował młynem, kazał usiąść staruszce, za chwilę przyniósł długi zwój papieru i rzekł:

— Musisz się podpisać.

— Czy to rachunek, wiele zapłacę za odmłodzenie?

— Nie! to jest spis wszystkich twoich szaleństw, które spełniałaś w życiu. Musisz jeszcze podpisać się na to, iż wszystkie te same szaleństwa na nowo będziesz wykonywała.

— Ależ ja nie byłam szaloną! Ja żyłam roztropnie!...

— Tak każdy sądzi, kto nie pozna życia swego dobrze. Od 16 roku do 30 przypada najmniej dwa szaleństwa na jeden dzień, z wyjątkiem niedzieli, bo wtedy dwa razy tyle...

— Lecz teraz będę żyła inaczej...

— Kto chce żyć drugi raz, musi to samo wszystko powtórzyć, co czynił poprzednio, inaczej życie się nie wróci.

— Nie wróci? — powtórzyła staruszka — więc nie chcę żyć drugi raz, gdy mam tyle omyłek popełnić...

Niejeden z nas, gdyby jak w owej bajce, miał przejść przez próg młyna czarodziejskiego, a wiedział, iż znowu tyle w życiu skarbów zmarnuje, możeby gorzko zapłakał nad przeszłością i rozżalił się tęsknie nad tem, iż go lepiej żyć nie uczono.

Ale co w baśni wydaje się nieprawdopodobnem, bywa prawdą w życiu. Kto chce poprawić życie i jego skarbów nie marnować, ten w każdej chwili może zacząć żyć rozumnie i rozważnie.

Oświata przychodzi z pomocą, nauka wyjaśnia wiele prawd, doświadczenie przestrzega i uczy.

Tylko trzeba chęci i woli.

Na progu życia znachodzi człowiek bryłę najczystszego marmuru, a przy niej dłuto. Trzeba zacząć pracować. Marmur to czas, dłuto to praca. Jeden z marmuru tego rzeźbi jakoby najpiękniejszy posąg anioła, drugi nędzną jakąś chatę z tego sklei. Jeden zniszczy marmur i rozbije go na drobnego piasku kawałki, inny stworzy dzieło, zachwycające wszystkich... Owa bryła marmurowa to czas, dłutem nasza praca, a my jesteśmy rzeźbiarzami i pracownikami. Marnujemyż ów skarb czyli szanujemy go i używamy tak jak należy? Wieleżby, wieleżby tomów można napisać o tem, co z dobrego użycia czasu uzyska ów człowiek, który szanuje każdą chwilę. Lecz dziesięćkroć więcej znajdziemy smutnych przykładów na przedstawienie obrazu tych strat, które ludzie ponoszą przez marnowanie czasu.

Niejeden pracuje i pracuje od rana do nocy, a z mozołu jego mniejsza korzyść od pracy drugiego człowieka, który robi umiejętnie, zręcznie i wedle planu.

Marnujemy czas dla wielu rozlicznych przyczyn.

Lecz najwięcej skarbu tego idzie na darmo przez to, iż nie staramy się o to, ażeby drobne zajęcia wykonywać w najkrótszym czasie i nie powstrzymujemy się przed gadulstwem.

Rolnik na zaoranie niwy zużyje tyle samo czasu, ile go straci na naprawianiu dyszla, gdy wiąże dyszel złamany starym powrozem, a kilka razy psującą się rzecz, niedbale łata.

Gospodyni na uszycie koszuli zużyje tyle czasu, ile go straci przy studni na gadaniu z kumoszką o tem, co wczoraj od sąsiadki słyszała.

Dziewoja zmarnuje wiele godzin na niedbałem cerowaniu bielizny, a zyskałaby wiele, gdyby umiała uczynić to porządnie i starannie.

Tak u nas na każdym kroku spotyka się przykłady tego, iż niby pracujemy, a jednak w pracy tej więcej jest marnotrawstwa czasu, jak korzyści istotnej. Są narody, które mają kraj uboższy od naszego, a jednak nie znajdziemy tam tylu ludzi ubogich, ilu ich jest u nas. Umieją tam ludzie mnożyć pracę przez to, iż co wykonają, to uczynią dokładnie, szybko i na czas.

Nic tak czasu nie marnuje i nie pożera, jak to poprawianie roboty źle wykonanej, jak owo spaźnianie się z pracą tą lub tamtą, albo wykonanie niedbałe i liche.

Pewien pisarz zestawił takie porównanie:

— Kowal z żelaza za pięć dolarów robi podkowy, za które bierze dziesięć dolarów. Nożownik z tej samej wartości żelaza zrobi noże i otrzyma 200 dolarów. Fabrykant taką samą ilość żelaza za 5 dolarów przerobi na igły i dostanie 6.800 dolarów. Zegarmistrz z żelaza za 5 dolarów zrobi włoskowate sprężynki do zegarków i otrzyma 2 miliony dolarów, czyli 60 razy więcej, aniżeli warte złoto tej samej wagi!...

Cóż więc przynosi to zwiększanie się dochodu i zarobku, jeżeli nie umiejętniejsze zużytkowanie materyału w pracy dobrze prowadzonej? Im lepiej kto umie pracować, tem lepiej zużyje każdą chwilę pracy, a im mniej my jesteśmy uzdolnieni do prac naszych, tem robimy gorzej, powolniej i więcej czasu zmarnujemy.

Lecz ażeby umieć pracować dobrze i każdą chwilę zużytkować, a nie marnować, trzeba zrozumieć, czem jest chwila czasu.

W Ameryce do księgarni przyszedł raz młody mężczyzna i wybrał sobie książkę do czytania. Pyta więc:

— Wiele ta książka kosztuje?

— Dolara!

— Czy nie może pan zniżyć ceny? Nie może pan oddać tej książki za tańsze pieniądze?

— Teraz będzie ta książka kosztowała dolara i ćwierć.

— Dlaczego?

— Bo musisz pan zapłacić za czas, który tracimy niepotrzebnie na targowaniu się.

— Jakże być może, ażeby teraz drożej płacić?

— Teraz książka kosztuje półtora dolara.

— Co pan mówi? Wszak ceniłeś przedtem jednego dolara?

— Każda chwila czasu jest drogocenna, my nie mamy czasu wolnego na próżniacze targowanie się.

Owym księgarzem rozumnym był Franklin, znakomity mąż stanu i uczony badacz przyrody. Umiał on czas cenić, więc ani jednej chwili tego skarbu nie zmarnował. Ojciec Franklina był ubogi mydlarz, miał 16 cioro dzieci. Benjamin, najmłodszy, własną pracą i nauką wytrwałą doprowadził do tego, iż stał się jednym z najsławniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych.

Jedna godzina dziennie uratowana, wieleż może nam pomnożyć czasu, tego skarbu drogiego i cennego!! Jedna godzina dziennie, to znaczy 365 godzin w roku, to znaczy 3650 godzin przez lat dziesięć, czyli blizko rok zyskanego czasu, bo gdybyśmy liczyli 12 godzin dziennej pracy, to nam przybywa 4180 godzin... Zyskać jeden rok i mieć sposobność ze skarbu korzystać, toć przecie rzecz bardzo ponętna, a jednak my nad tem się nie zastanawiamy.

Godzina dziennie, to można przeczytać w jednym roku 7000 stron, czyli 18 grubych tomów. Godzina dziennie, to 1095 godzin w trzech latach, a gdybym zdołała w jednej godzinie jakie ubogie dziecko nauczyć pisać jedną literę, wieleż w tysiącu godzin zrobić bym mogła?... Jedna godzina dziennie, a może człowiek nieznany stać się sławnym, nieuczony, może się wykształcić, ubogi może się wzbogacić!...

W Anglii znakomitym mężem stanu, ministrem i pisarzem był niejaki Gladstone. Ogromnie wiele on pracował, zdumiewali się ludzie nad jego umysłem bystrym i wyrobionym, a wiecie, jak on czas szanował? Oto zawsze miał w kieszeni książkę, ażeby czytać, jeśli tylko jedną chwilę wolną znajdzie.

Był jeden kamieniarz, który w chwilach wolnych zbierał motyle. Po jego śmierci znaleziono najwspanialszy zbiór motyli i oddano do muzeum, ażeby ludzie podziwiali piękno przyrody.

Pewien włoski uczony napisał na drzwiach swego domu: „Kto tu wejdzie, musi ze mną pracować". Dobrzeby było na drzwiach naszych chat i mieszkań pisać: — „Szanujmy czas!"

Nie dziwujmy się, że przykłady tu przytaczane, są brane z życia ludzi nam obcych. Dowodzi to, iż u nas, wśród Polaków, mało właśnie spotyka się jeszcze ludzi tych, którzy umieją czas jako skarb prawdziwy szanować. My posiadamy wiele cierpliwości, wiele wytrwałości, to prawda, ale czasu nie umiemy szanować i inne narody nas w tem zawstydzają.

Szewc, Karol Frost w Ameryce, powiedział sobie:

— Godzinę dziennie muszę się uczyć.

I sam, bez pomocy niczyjej zaczął się codzień przez godzinę uczyć, a potem został najsławniejszym matematykiem w Stanach Zjednoczonych.

Cieśla, Jan Hunter, także Amerykanin, jako młody chłopak, zaczął w chwilach wolnych od pracy, zbierać rozmaite okazy co do budowy zwierząt, miał później zbiór sławny i profesora przez 10 lat opłacał, ażeby 24.000 okazów uporządkował wedle planu nauki.

A kto wynalazł koleje żelazne i lokomotywy?

Oto maszynista, ubogi robotnik, syn palacza w kopalniach węgla. Sam się uczył, sam pracował, sam też powiadał zawsze:

— Wolną chwilę chwytam jak złoto!

W wolnych chwilach od pracy przy maszynie, uczył się matematyki, fizyki, mechaniki, i oto stworzył wynalazek, który milionom i milionom ludzi daje zarobek, ułatwia handel, zbliża oddalone przestrzenie, światy najdalsze czyni blizkimi!...

Wieleż my skarbów zmarnujemy wtedy, gdy stoimy pod karczmą i rozmawiamy o byle czem. A gdybyśmy przez ten czas słuchali głośnego czytania albo gdyby każdy z nas miał tak zawsze przy sobie jakąś mądrą i naukową książkę, jak nosił ją ów angielski mi-

nister, wieleżbyśmy rzeczy poznali i wiele się nauczyli?...

Ażeby nie marnować tego cennego skarbu „czasu“, należy wcześnie dzieci nakłaniać do pracowitości i w życiu domowem należy zaprowadzić taki ład, wedle którego każda praca musi być wykonana w swoim czasie.

Najwięcej marnują ludzie czasu na naprawianie źle użytych chwil. Gospodyni biega krzyczy, gniewa się, szuka, woła, bo już gospodarz w pole jedzie, obiad nie ugotowany klucza od komory znaleźć nie można, mleko się zwarzyło.

A wszystko dlatego, iż ona się trochę zagadała z Magdą kowalową, późno przyszła od studni, późno rozpaliła pod blachą, późno ziemniaki oskrobała. Jedna godzina zmarnowana na dzień, to 360 godzin zmarnowanych w roku, i nie żal nam, i łzy z ócz nie płyną, iż tyle złota w proch rosypujemy.

A te dzieci nasze, na pastwisku przykute do gęsi i cieląt, czy to nie krzywda im się dzieje? Czy to nie marnujemy im życia na próżniactwie bezlitośnem?

— Szkoda zapłacić pasterzowi 10 koron przez lato, niech Marysia pasie!

I tak pasie Marysia swoją krowinę, Jaga swoją, Zuzia swoją, i tak przy każdej bydlęcej istocie, jedna dusza ludzka marnieje, jedno serce ludzkie gaśnie, jedno życie młode psuje się i rani, bo nawyka do złego, a nie uczy się pracować jak należy.

Wam się zdaje często, iż dziecko jak dziecko, nie wiele umiejąc, nie wiele zrobić może. A w duszy dziecka każdego skarb nad skarby miliony, klejnoty, cuda nad cudami, tylko je wydobyć, tylko wychować, tylko wykształcić, tylko zużytkować...

Tak piszą Anglicy:

— Gdy w fabryce płótna jedna niteczka się zerwie, wtedy psuje się ogromna tkanina i pracownicy każą płacić za szkodę. Któż zapłaci za szkodę tylu chwil zmarnowanych w których praca dzieci naszych była przerwana, plątała tkaninę i psuła życia drogę?...

— Gdyby! o, gdyby!... — woła niejeden z żalem — gdybym był uczęszczał do szkół, gdybym był uczył się, gdybym był lat młodych nie strwonił!

Zapewne! Bardzo to boleśnie obaczyć, iż ię zmarnowało wiele lat, ale kto zaczyna poznawać błąd i winę, ten może jeszcze wiele poprawić i uratować. Zmarnowany skarb czasu da się odzyskać, tylko należy mieć silną wolę...

O niej, o woli naszej, teraz pogawędzimy.

* * *

Mądry filozof polski (Trentowski) powiedział:

— „Wolą różnimy się od zwierza, samowolnością stajemy się zwierzęciem“.

Trzeba się bowiem dobrze nad tem zastanowić, ażeby zrozumieć, co to jest wola nasza, a potem, ażeby ocenić, jakim skarbem jest silna wola.

„Wola jest matką wszystkich dobrych uczynków — samowola jest matką wszystkich złych uczynków“. Jeżeli jesteśmy samowolni, czynimy źle i sobie i drugim, marnujemy skarby ogromne, bo nie umiemy pokierować tak życiem, ażeby wszystko co ono niesie, użyć dobrze i korzystnie. Przeciwnie zaś, gdy mamy wolę silną, posiadamy sprężynę, która naszą pracę ułatwia, przyspiesza i utrwala.

Wola ludzka to skarb, ale gdy jest dobrze użyty i dobrze kierowany. Lecz my — o wartości tego skarbu nie mamy pojęcia, a więc i nie umiemy go używać. My wiemy, iż mórg pola wart jest tyle i tyle koron, wiemy, iż z morga możemy zebrać tyle i tyle owsa lub żyta, więc mórg pola cenimy i szanujemy.

My wiemy, iż maszyna ta lub inna, wykona to lub tamto, więc maszynę tę szanujemy, bo ona kosztowała 10—20—50 K.

Ale czem jest wola nasza, albo wola dzieci naszych my nie wiemy, więc ani jej nie szanujemy, ani nie wyrabiamy. Nam się zdaje, że każdy rys woli, to jest samowola i dlatego chcąc dobrze wychowywać dzieci, karcimy i karzemy za to wszystko, co jest objawem silniejszej woli. My też wiemy dobrze

że i nam rodzice zakazywali wiele rzeczy, które szkodliwemi nie były, a przez to wolę w nas łamano.

Niezmiernie to trudna rzecz odróżnić, kiedy chęć tego albo pragnienie tamtego jest objawem silnej woli lub samowoli. Nie da się rzecz taka w jednej krótkiej pogawędce określić bardzo dokładnie. Potrzeba czytywać książki o wychowaniu i zaznajamiać się z dziełami o życiu duszy ludzkiej (psychologii). Na razie pragnę tylko na to zwrócić uwagę, iż my sami swojej własnej woli nie umiemy ocenić i nie znając siły tej woli, nie umiemy nią kierować.

— Chcieć, to znaczy módz!...

A więc trzeba chcieć wiele, wtedy będzie można wiele zdziałać, zdobyć i wykonać!...

A my tak po staremu, wedle naszego przyzwyczajenia:

— Gdybym mógł, zrobiłbym to!

— Gdybym mogła, miałabym tamto!...

Nam się zawsze zdaje, że inni ludzie mieli łatwiejsze życie, iż im wszystko składało się na pomyślność, a nam każda rzecz nie uda się, bo nam już „przeznaczenie“ inaczej drogę zakreśliło.

— „Pod nieszczęśliwą gwiazdą“ urodziłam się — powiada kobieta i narzeka, iż rady dać nie może w domowych obowiązkach.

Lecz to nie „nieszczęśliwa“ gwiazda winna, tylko słaba wola, zmarnowany skarb woli silnej, chwiejność i niestałość, sto rzeczy się zaczyna i sto rzeczy nie kończy się!

Znakomity angielski pisarz „Walter Scott“ miał już lat 55, gdy się przekonał, iż ma ogromne, straszne długi. 600 tysięcy dolarów był winien. Postanawia wtedy:

— Muszę je spłacić, do końca życia muszę je spłacić!...

Postanowił i spłacił... Urodzony w roku 1771, 55 lat miał w roku 1826, umarł zaś w roku 1832, a więc...

A więc w sześciu latach spłacił 600.000 dolarów długu.

Zawołano pewnego cieślę do naprawy ławki w sali sądowej.

— Dlaczego tak bardzo starannie tę ławę naprawiasz? — pyta go woźny.

— Chcę, ażeby ona tak długo trwała, aż ja na niej jako sędzia zasiędę.

W kilkanaście lat później, na tej samej ławie zasiadł sędzia-cieśla, który złożył wszystkie egzamina i otrzymał posadę sędziego.

A czy w historyi narodu naszego nie znajdziemy ogromnego zastępu ludzi tych, którzy właśnie silną wolą pokonywali wrogów, wstrzymywali waśnie i rozterki, dźwigali ducha wyżej i wiedli pokolenie swoim przykładem?... Czyż taki Łokietek siłą woli nie wydźwignął kraju z zamętu i podziałów?... Czy Kazimierz Wielki jako ów, który Polskę murowaną zostawił, nie silną wolą doprowadzał do tego, co mu zapisało imię Wielkiego wśród serc polskich?... Wszak weźmy pod uwagę, iż męstwo, bohaterstwo, odwaga, to wszystko są objawy silnej woli, a więc czyż nie słusznie mogą ci narzekać, którzy widzą, iż teraz ludzi mężnych, odważnych i bohaterskich coraz mniej, bo coraz mniej woli żelaznej?...

Marnujemy skarb i jesteśmy ubodzy.

Marnujemy skarb i jak nędzarze w łachmanach, zamiast w królewskich szatach chodzimy.

Nie umiemy wyrabiać w sobie i w naszych dzieciach silnej woli, więc życie mija bez czynów podniosłych i bez pożytku na szczęście i dobro narodu.

Zaczęliśmy syna dawać do szkół. Zamiary były dalekie i cel piękny, ale gdy trzeba było dać na książki kilkanaście koron i na opłacenie nauczyciela do pomocy kilka koron, pożałowaliśmy wydatku, Jasiek wrócił do krów i plan daleki spadł.

Gdzież była siła woli?

Chcieliśmy założyć we wsi szkołę wyższą, ażeby się dzieci dalej uczyły. Ale gdy należało zrobić ofiarę, wybudować budynek, dać pola kawałek, pożałowaliśmy i oto niech będzie jak było, silna wola jak pajęczyna rozwiała się.

Lecz inni wolę miewali jak stal i dochodzili tam, gdzie my dojść nie umiemy.

600 mil piechotą przez gęste lasy szedł

biedny człek do Nowego Jorku, ażeby tam znaleźć pracę. Kilka tygodni chodził, pukał do domów i fabryk prosząc o robotę, lecz nigdzie nie mógł jej znaleźć.

Dowiedział się wreszcie, że w pewnej drukarni potrzeba zecera do składania liter.

Zgłosił się i stanął do pracy, której wykonać nie umiał. Pierwszy dzień robota szła licho, chciano go oddalić. Silna wola pokonała trudności. W dziesięć lat później, ów robotnik już był współwłaścicielem drukarni, założył najlepsze pismo w Nowym Jorku, w sześciu tygodniach miał już 11.000 prenumeratorów..

Czyż więc nie umiał on użyć skarbów, które miał dane w życiu?...

Czyż ci wytrwali ludzie nie mieli tego samego skarbu, który my mamy?...

Oto jakże my biedno i chwiejnie wyglądamy z naszemi skargami:

— Trudno! nie można!...

Biedny cieśla pracuje razem z swoim synem. Robota jest pilna.

— Czy nie mogę jutro być wolnym? — pyta cieślę syn jego młody.

— Cóż za sprawa ważna? Dlaczego chcesz spoczynku?

— Nie, ojcze! Nie chcę spoczynku, lecz muszę zdać egzamin wstępny do wyższej szkoły.

— Egzamin? W dalekiem mieście? Ależ mój synu, ja nie mam za co ciebie tam utrzymywać, ja nie mogę ci dopomagać w nauce.

— Będę tu we wsi pracował, będę się w wolnych chwilach uczył, a tylko na egzamin pójdę do miasta.

Na drugi dzień rano poszedł pieszo dziesięć mil do miasta, złożył egzamin bardzo dobrze, wrócił do wsi i sam się ucząc, przeszedł wszystkie klasy.

Do nauki potrzeba mu było wiele książek Ojciec na to grosza nie miał. Chłopak więc wstawał rano, zbierał poziomki, sprzedawał, za to kupował książki.

Był to Teodor Parker, znany zaszczytnie uczony.

Jakież skarby pomogły mu w pracy mozolnej i długiej?...

Miał tę samą siłę, którą każdy z nas w duszy posiada, lecz umiał ją użyć, miał wolę i jej nie stępił, nie zgłuszył, nie zmarnował.

A czy ci nasi dzielni żołnierze, którzy pod Dąbrowskim w legiony się zapisywali i cudów dokazywali w walkach pod Napoleonem, nie silną wolą rośli w bohaterów?...

A czy u Kościuszki, Głowackiego, Kilińskiego nie siła woli stwarzała te czyny, którymi karty historyi jaśnieją?...

A czy Brodziński nie siłą woli szedł naprzód w nauce, gdy rozmaite przeszkody tamowały drogę?... A ksiądz Kordecki nie siłą woli doprowadził do tego, iż Częstochowa została uratowana?...

Moc nad moce, potęga nad potęgi tkwi w naszej woli, tylko trzeba umieć nią władać...

* * *

Siła woli może być skierowana ku dobremu lub złemu celowi. Tak samo, jak ów zacny młodzieniec dąży do zdobycia wiedzy i siłą woli pokonywa trudności, tak samo nieuczciwy człek dąży do zdobycia majątku drogą oszustwa lub kradzieży, a pomaga mu w tem siła woli.

Dlatego trzeba czuwać i pracować nad tem, ażeby wyrabiać w dzieciach charakter żeby człowiek umiał osądzić, co jest celem dobrym, a co celem złym.

Każdy człowiek musi mieć przed sobą wytknięty jakiś cel, do którego dąży. Im są udzie szlachetniejsi, tem piękniejszy cel życia przed sobą widzą.

Zmarnujemy skarb wielki, gdy nie zwrócimy woli naszej ku celom dobrym. A te cele dobre, szlachetne, jasne, promienne zbliża oświata.

Dlaczego człowiek nieoświecony kradnie? Oto dlatego, iż nie widzi w swoim czynie brzydoty zła. Dlaczego człowiek ciemny upija się i nie umie zachować miary? Bo nie widzi szlachetniejszego celu użycia pieniędzy.

Jeden gospodarz we wsi stara się i gorliwie nad tem pracuje, ażeby zachęcić innych do oszczędności, ażeby zaprowadzić kasę pożyczkową, ażeby czytelnię rozszerzyć i na chwile wolne znaleźć szlachetne rozrywki.

A drugi gospodarz powiada:

— Co mnie tam o innych się starać? Co zarobię to mam, co z zarobionymi pieniędzmi zrobię to moja rzecz, czy przepiję, czy schowam, to moja wola.

Otóż właśnie powinno się nam o to rozchodzić, ażebyśmy poznali i zrozumieli, iż wola nasza nie może być samowolną, bo nigdy wola ta nie powinna zezwalać na złe, a zawsze dążyć do dobrego.

Im więcej wola nasza od nas samych się oddala, a ku dobru drugich zwraca się, tem szlachetniejszy cel życia mamy przed sobą.

Kościuszko wolę swoją zwrócił ku temu, ażeby Ojczyźnie służyć. Dlatego stał się wzorem i ideałem człowieka szlachetnego.

Jeżeli ów człowiek wolę swoją zwrócił ku temu, ażeby kupować coraz więcej ziemi, cel ma dobry.

Lecz jeśli dwu jest takich, którzy starają się nabywać coraz więcej ziemi, a jeden kupuje dlatego, ażeby zbierać plony i grosz chować, zaś drugi kupuje dlatego, ażeby nie dać ojcowizny w obce ręce i dzieciom ją zostawić, to któryż z nich w celu swoim stanął wyżej?...

Jeśli dwu uczęszcza do szkół i znosi niemało przykrości, bo jak powiadają i w głodzie i w chłodzie miesiące spędza, to wytężają wolę swą do celu szlachetnego, zdobycia nauki. Ale, gdy jeden powiada:

— Uczę się, ażebym miał lepszy zarobek w ręku.

A drugi znów mówi:

— Uczę się, ażebym umiał lepiej dla Ojczyzny pracować.

To pierwszy, iż o sobie myśli i siebie za cel stawia, niższy jest co do wartości charakteru od drugiego, który pragnie być jednostką pożyteczną nie dla siebie, ale dla narodu i Ojczyzny.

Mickiewicz, król polskiej pieśni, powiada:

„Mierz siły na zamiary,
„Nie zamiar wedle sił!“

W tych słowach jest wzniosła nauka i jest drogowskaz chroniący od zbłądzenia.

My wszyscy powinniśmy stawiać przed sobą cele i zamiary szlachetne, piękne i jasne, a wszystkim nam sił do osiągnięcia ich nie braknie. Bo w duszy każdego człowieka jest moc i siła ogromna, bo każdy z nas obdarowany jest bogato i hojnie, bo każdy ma skarby większe nad skarby w ziemi ukryte, lecz niekażdy umie z tych skarbów korzystać.

Gospodarz uważa za swój skarb wielki rolę, gospodyni uważa za swoje skarby korale i pieniądze, a ani jeden ani druga nie rozważą, iż noszą oni w duszy swej skarbów miliony.

Ani ojciec ani matka nie wie i nie rozumie, jakie skarby kryją się w sercach i duszach dzieci ich, wiele te dzieci mogą im przynieść szczęścia, sławy i pożytku sobie i narodowi.

Gdybyśmy ciągle i ciągle złoto chcieli mieć w ręku i złotem chcieli się otaczać – zabrakłoby go wkrótce.

Gdybyśmy żelazem chcieli się posługiwać i jego mocą się zasłaniać – przekonalibyśmy się, iż przecie rdza żelazo przegryza.

Gdybyśmy tylko w wielkich i wspaniałych budowlach chcieli znaleźć chlubę naszą, poznamy, iż i one wiecznotrwałe nie są.

Ale gdy pracujemy nad tem, ażeby wyrabiać w nas i w dzieciach naszych charakter prawy i szlachetny, wtedy siła woli naszej skierowana jest ku celom dobrym i życia droga nie mija jak lot ptaka, bez śladu.

* * *

— Chciałbym uczynić coś dobrego i pożytecznego w gminie i we wsi, ale mi się nie wiedzie. Ludzie nie chcą pomagać, każdy woli przeszkodzić, jak pomódz.

Tak mówi niejeden i żali się, że jego chęci i zamiary nie łatwo wykonać się dadzą.

— Jabym rada pracować lepiej i w chacie i wśród dzieci — rzecze znów gospodyni — ale u nas więcej tylko będzie wyśmiania i wydrwiwania, aniżeli pomocy. Byle co zrobić inaczej jak robią inni we wsi, a już cała wieś wydrwi i osądzi, iż to wszystko „nowomodne", że chcę sławy i pychy.

Przez takie oglądanie się na ludzkie sądy i zdania marnujemy ogromne skarby — dobre chęci!...

Powiada wprawdzie stare przysłowie, iż „dobremi chęciami piekło brukowane", ale bez dobrych chęci nic dobrego się nie wykona.

Ludziom nie brakuje chęci, ale im brakuje wytrwałości. Nie ten jest bohaterem, kto zaczyna walczyć z wrogiem, ale ten, kto wytrwa i zwycięży. Nie ten jest wielkim człowiekiem, kto chce uczynić coś bardzo pożytecznego i wielkiego, ale ten, kto wykona czyn taki, przez który ludzkość do szczęścia się zbliża.

Gdyby tak wszyscy, zawsze za najpierwszą przeszkodą ustawali w zamierzonej pracy, bylibyśmy dziś jak przed tysiącami lat, ludźmi bez oświaty i postępu.

My dziś korzystamy z tysiąca wynalazków i zdobyczy naukowych tych, którzy pracowali mozolnie i wytrwale, a czyż nasze syny i wnuki po nas nie odziedziczą nic więcej nad to, co my po praojcach dostali?

Marnujemy skarby, gdy wytrwałości nie posiadamy i dzieci nie przyzwyczajamy, ażeby w wytrwałej pracy szły naprzód.

Zwycięstwo bez trudności nie jest bohaterstwem, dlatego nie nazwie nikt tego bohaterem, kto bezbronnego pokona.

Wytrwałość nie byłaby cnotą wielką, gdyby nie polegała właśnie na tem, iż musi pokonać przeszkody.

Czyż Sobieskiego bohaterstwo byłoby tak wielkie, gdyby on był nie wytrwał wśród walki pod Chocimem, gdzie 30.000 naszych miało stanąć naprzeciw ogromnej liczby Turków?...

Czy bohaterstwo ludu naszego pod Racławicami byłoby tak zapisane w pamięci narodu, gdyby lud ten był nie wytrwał w ogniu kul?...

A czy tylko w krwawym boju wytrwałości i męstwa potrzeba?... Musimy zwyciężać codzień rozliczne przeszkody i trudy, ażeby zwyciężyć zasługą życia całego.

Skarb nad skarby, klejnot nad klejnoty, naszej woli siła. Powiedzieć sobie: — chcę! i dojść do celu, oto znaczy umieć żyć...

Daleko, daleko, w dzikich lasach Ameryki żyła wdowa bardzo biedna. Skarbem jej całym był chłopczyk 18-miesięczny. Żyć niema z czego, dziecka niema czem karmić, zarobić niema gdzie i trzeba jeszcze ciągle troszczyć się o to, ażeby chłopczyny dzikie zwierzęta nie pożarły.

Uboga wdowa powiada sobie:

— Chcę wychować dziecko tak, aby mu było w życiu dobrze.

Całe życie swe zwraca wdowa ku temu, ażeby wyrobić u chłopca energię i silną wolę.

Gdy Jakób miał lat 16, zgodził się już do poganiania mułów. W rok potem zgodził się do zamiatania podług w wyższej szkole w mieście wielkiem. Lecz gdy podłogi pozamiatał chwytał książki do rąk, uczył się, uczył, uczył bez wytchnienia. Złożył egzamin i zaczął chodzić do wyższej szkoły tak przygotowany, jak gdyby od lat najmłodszych był pod opieką nauczycieli. W nocy u cieśli heblował deski i za to otrzymywał wynagrodzenie.

Uboga wdowa widzi syna już jako ukończonego akademika, w parę lat potem jest on już w senacie, a oto wreszcie zostaje prezydentem Stanów Zjednoczonych, co się równa znaczeniu króla lub cesarza w niejednem państwie.

— Dziś mija lat 27, kiedym się zgodził do zamiatania podłogi w szkole wyższej — mówi Jakób Garfield do matki — dziś jestem prezydentem wielkiego narodu, a wszystko zawdzięczam tobie, boś mi wyrabiała w dzieciństwie silną wolę!...

Ale, niestety, takich matek i synów takich nie wielu się spotyka.

Łamią się nasze cele, przy drobnych przykrościach.

— Poszedłbym na odczyt do czytelni, ale deszcz zacina, wolę spocząć w chacie.

— Chowałabym więcej kur, bo to się opłaci, ale trzeba ogrodzić sad i pilnować, żeby w polu szkody nie robiły.

— Możnaby zawiązać spółkę handlową we wsi i dowozić towary do miasta, ale łatwo spotkać się można z przykrością i niezgodą.

Tak my się boimy i tak zamiary i chęci łamiemy łatwo.

Kazimierz Brodziński, jako biedny chłopczyna przecierpiał niemało w szkołach, kiedy mu wszystko po niemiecku kazano się uczyć. Gdy obaczył, jak przekupka polską książkę darła, ażeby poziomki wsypać, ukradł tę książkę i uciekł jak z skarbem drogocennym. Ten człowiek wszakże przetrwał wśród trudnych warunków i zasłynął jako pisarz polski, który pierwszy wskazał drogę pracy wśród ludu

Mierz siły na zamiary!...

Jeśli zamiar tylko taki, aby zjeść, spać i ubrać się, to i siły tylko na taką drogę, z chaty do pola, z pola do karczmy... z karczmy do chaty...

A jednak jakże inni inaczej żyją!

* * *

— Z tym Tomaszem wieczne umartwienie i ciągły kłopot — rozpacza matka, bo malca odszukać nie może. — Ledwie zaczął chodzić ucieka z domu, zbiera robaki, żaby, pijawki i wszystko to znosi do mieszkania.

— Wyrzuć to wszystko! — woła z gniewem ojciec.

Gdy ropuchy skaczą około stołu, ślimaki posuwają się po talerzu, myszy z kieszeni wyglądają.

Ale Tomasz Edward i bicie zniesie cierpliwie, i bez obiadu się obejdzie, i na nocleg w stajni się zgodzi byle tylko zwierzęta wszelakiego rodzaju miał przy sobie...

Raz przywiązała go matka do stołu, ażeby nie szedł z domu, nie pomogło! Sznur przepalił, uciekł, wrócił w nocy i przyniósł całe pudło pająków, pluskiew, robaków.

Matka schowała mu ubranie, on się wybrał w las w jakiejś starej spodnicy i znów przyniósł okazy rozmaitych zwierząt.

Oddano go do szkoły, ale i stamtąd wydalić Tomasza musiano, bo zamienił izbę szkolną w menażerye. Podczas modlitwy w szkole, kawka z kieszeni Tomasza wydobywa się i skrzeczy wcale radośnie. Musiał się ze szkoły wynieść. Po jakimś czasie przyjęto go do innej szkoły. Zdawało się, że już będzie nieco lepiej. Lecz co się dzieje? Podczas lekcyi chłopcy zaczynają skakać i piszczeć... pijawki im u nóg się powieszały, cała chmara pijawek po izbie szkolnej posuwa się.

Któż winien, jeśli nie Tomasz?...

Daremne wszelkie starania, takiego urwisza w szkole nie chcą mieć, rodzice nie wiedzą, co z nim uczynić. Oddano więc dziecko do szewca i — zmarnowano.

W dziewięciu latach zgromadził Tomasz Edward z Aberdeen tyle okazów, iż sześć ogromnych wozów zabrać ich nie mogło. Biedak! Sprzedał to wszystko, ażeby mieć grosz na naukę, lecz i tak kształcić się nie mógł, został szewcem i życie całe żałował, iż jako przyrodnik nie mógł zajmować się pracą, do której miał powołanie.

Podobnie jak rodzice owego Tomasza, postępujemy i my często z naszymi dziećmi. Nie umiemy ocenić i uszanować objawów tych talentów, które rysują się wyraźnie i często jeszcze dziecko karzemy surowo za to, iż ono bawi się tem, co mu najwięcej sprawia przyjemności.

Tam mały Jaś rysować pragnie. Nie dadzą mu ołówka i papieru, on węglem po ścianach chat rysuje konie, psy, ptaki. Biją chłopca jakby za największą przewinę, a nie zbadają, iż rysunki owe zdradzają talent wielki.

Tam znów chłopczyna z deszczułek i patyczków robi młyn, buduje most, stawia jakąś wieżę i znowu narzekanie ciągłe i karanie, ażeby odciągnąć od nie potrzebnej zabawki.

I znowu złamie się talent wybitny i zmarnują się siły i skarby ogromne, a my ani tego nie umiemy ocenić, czem są talenta jednostek, ani straty nie obliczamy, jaką przez to Ojczyźnie i narodowi wyrządzamy.

Zdaje się nam, iż jeśli dziecko odziedziczy po ojcu kawał ziemi i gospodarzyć na nim będzie, nie może być czem innem, jak tylko rolnikiem i jako rolnikowi, innego wykształcenia nie potrzebujemy dawać nad to, jakie syn od ojca w praktyce otrzyma. Jednakże trzeba zrozumieć, iż nie to ma decydować, czem syn nasz będzie, czy my mamy mniej lub więcej pola, ale mają decydować jego zdolności i talenta. Syn szewca może mieć największe zdolności do gospodarstwa. Syn rolnika może mieć największy talent do handlu lub przemysłu.

A więc rada bardzo ważna.

Trzeba dzieci nasze kształcić i oświecać, nie mówiąc czem one będą, a dopiero przy wykształceniu dzieci talenta ich wrodzone okażą się i wtedy wedle zdolności trzeba niemi kierować.

Ci, którzy znali rodziców Jana Matejki, opowiadają, iż nie cieszyli się oni tem, co Jaś ciągle rysował, a nawet do lakiernika chciano go dać, ażeby farbami się cieszył.

Cóżby się było stało, gdyby chłopak dał swój talent złamać? Byłaby Polska poniosła ogromną stratę, byłby skarb, geniusz wielki utonął i zginął.

Niejeden raz mówią rodzice:

— Co tam talent do muzyki lub rysunków, z tego chleba nie będzie, niech tak pracuje, ażeby i chleb i pieniądz miał.

Gdyby tak jednak wszyscy sądzili, musiałyby się narody wyrzec wszystkich arcydzieł i sztuk pięknych, życie by było tylko poświęcone na to, ażeby jeść, spać, ubrać się i grosz schować.

Miło nam patrzeć na wspaniałe kościoły, na piękne obrazy, miło nam przysłuchać się pięknej muzyce, zaśpiewać pieśni, przeczytać ciekawe i zajmujące książki.

Któż to wszystko wykonał i nam zostawił? Oto ci, którzy mieli skarby wielkie, talenta wrodzone i tych nie zmarnowali, nie strwonili, nie złamali.

Wszak twierdzą ludzie poważni, iż po rozbiorze Polski, nasi poeci i malarze o życiu Polski ciągle światu przypominali, bo się wszystkie ludy obce, cywilizowane zdumiewać musiały nad takiemi pieśniami, jakie pisał Mickiewicz, nad tymi obrazami, które malował Matejko, nad tą muzyką, którą tworzył Szopen i Moniuszko.

Czy tak samo nie znalezionoby wśród nas ludzi z szczególnymi talentami do przemysłu, wynalazków, handlu, rzemiosł niektórych?...

O! bezwątpienia, iż nie stalibyśmy jak obecnie na szarym końcu, gdyby nasze talenta były należycie rozwijane i wyrabiane.

A do rozwoju zdolności i do zużytkowania talentów początek daje oświata.

Gdybyśmy nie orali i nie zasiewali niwy przez lat kilka, powiedzianoby o nas, iż marnujemy skarb, ziemi soków nie zużywamy. A gdy my pozostawiamy nasze dusze bez oświaty, naszej pamięci nie wzbogacamy, naszego rozumu nie rozwijamy, czy nie marnujemy skarbów ogromnych?...

Nauka i oświata nie stwarza cudów, tylko skarby nasze umie użyć jak należy. Narody które stoją dziś najwyżej pod względem oświaty, przemysłu, dobrobytu, nie składają się z ludzi inaczej obdarowanych jak my. Tylko tam umiano skorzystać z skarbów, a u nas się te skarby depce, poniewiera i marnuje.

* * *

— Jak się macie staruszku?... Dopomóż Boże w waszej pracy!... Sami okopujecie ziemniaki?...

— A sam, niema mi komu dopomódz. Człowiek już stary, siły słabe, robota ciężka..

— Gdzież wasze dzieci?

— A w Prusach!... Syn i córka, oboje do Prus pojechali.

— Czyż nie było roboty we wsi? w kraju?

— Gdzie tam nie było? Oto widzą, jak pracuję od 4-tej rano do 9-tej wieczór, pra-

cuję a obrobić ziemi nie mogę. Jeno że te Prusy zapachniały, moda taka nastała, aby jechać i jechać za robotą. Mój syn żonaty pojechał, mego brata troje dzieci pojechało, to i moi zabrali się, pojechali, a my starzy nie mamy siły obrobić około ziemi jak należy.

Tak żali się stary góral, oparty o motykę, I mnie żałość jakaś rzewna około duszy owija się.

— Jakto? Woląż nasze dzieci nieść pracę swoją i siły swe obcym na wysługi, a tu, w Ojczyźnie, gdzie tyle sił potrzeba, nie chcą pozostać?...

„Zmarnowane skarby“, coś mi szepce raz po raz do ucha. Na obce progi niesiemy skarby naszych sił i naszej pracy, pod obce stopy rzucamy naszego życia cząstkę, wrogom Ojczyzny idziemy służyć za grosz lichy i marny, a tu tyle pracy i niema rąk wytrwałych, a tu tyle skarbów i niema komu ich z czarnej ziemi wydobywać...

Ziemio ty nasza najmilsza!

Matko ty najdroższa!...

Kiedyż przyjdą na twoje łany ci, którzy będą umieli tak pracować, ażeby cię z pohańbienia wywieść i w jasności szczęścia obaczyć!

Tyle skarbów w zagonach pól, w przestrzeniach lasów, w głębokościach skał, w falach rzek...

Tyle skarbów w milionach rąk, w biciu serc, w potędze sił ducha, w talentach rozrzuconych, a oto życie idzie, mija rok po roku.. nędza ciśnie, smutek pali... płaczemy, mówiąc:

— Biedni my!...

Jeśliśmy biedni, to nie dlatego, że ziemi mamy mało, nie dlatego, że ziemia licha i nieurodzajna, nie dlatego, że fabryk nie mamy, ale biedniśmy dlatego, iż nie umiemy skarbów naszych uszanować i marnujemy czas, zdrowie, siły, talenta, życie marnujemy.

W okolicy Krosna spotykam znajomego.

Wypytuję się o to i o owo, jak zwykle, co po wsiach robią, co słychać. Wreszcie o tem zaczynam:

— Założono tam warsztaty tkalne, sprowadzono maszyny, jakże robota idzie?

— Ludzi niema do roboty...

— Co?... Jakże być może?

— A nasi nie bardzo się garną do tej pracy. Dziewczęta nie chciały zgodzić się za tę cenę do miesięcznej roboty, pojechały do Prus, a tu z Czech dziewczęta przyszły i robią, i są zadowolone.

A więc czy to znów nie marnowane skarby na uciechę obcych?

Czemu dziewczęta z Czech przychodzą do nas z koszami koronek i te sprzedają i pieniądze biorą, a nasze nie pójdą tam z wyrobami swojemi?...

Trzebaby uczyć i uczyć, zachęcać i zachęcać, ażeby zrozumiano u nas, iż dziewczęta polskie mogą coś więcej umieć, jak siedzieć z cielętami całe lato na pastwisku, jak drzemać całą zimę przy piecu, w brudnej chacie!...

A po tę pracę lepszą i dającą zarobek, niekoniecznie zaraz trzeba pod progi pruskie spieszyć. Kto zechce – znajdzie pracę w kraju, ale o to idzie, ażeby chciał w kraju dla kraju pracować!...

* * *

Niech się nikt nie odważy powiedzieć, iż my nie posiadamy skarbów wspaniałych.

Nasze zwyczaje i obyczaje narodowe, nasze pieśni i podania, nasze stroje, nasza mowa, wiara nasza, nasza historya i literatura, to wszystko są skarby cenne, drogie, wspaniałe...

Jakże zazdrościćby mogły nam inne ludy gdyby na tyle były wykształcone, iżby zdołały ocenić swoje ubóstwo wobec naszego bogactwa...

A my — ani tych skarbów nie widzimy ani nie cenimy, bo ich nie znamy.

Byle jaki parobczak pojechał na parę miesięcy za robotą w obce strony, już zrzuca sukmanę lub płótniankę, już przebiera się za Niemca, już po niemiecku zaczyna paplać, już gardzi tem wszystkiem co zna i widzi w wiosce rodzinnej.

A Kasia lub Marysia byle poszła do mia-

sta na służbę, już przebiera się „z pańska", już nie zanuci piosenki dawnej, już o zwyczajach wioskowych zapomni...

Ze wsi dalekiej przyjdzie parobczak na robotę do miasta, za rok, za dwa już on inny człowiek, ponaucza się wyrazów obcych, przebierze się po miastowemu, szuka zabaw i rozrywek innych jak dawniej, śpiewa inne pieśni jak te, które w chacie słyszał.

A nie wszystko nowe lepsze od dawnego! I nie zawsze to co stare jak śmiecie ma się wyrzucić precz.

Są tacy, którzy bardzo skrzętnie nad tem pracują, ażeby nam udowodnić, iż wszystko co było, to próchno i pleśń, wszystko trza rzucić i nowe życie rozpoczynać, lecz ci, którzy tak czynią, okradają dusze nasze ze skarbu miłości Ojczyzny i gorzej jak piorony palą pień narodowego życia.

Jeśli syn odziedziczył po rodzicach dom, a widzi, iż są w nim pewne braki i wady, to stara się poprawić co złe i doprowadzić chce do tego, ażeby dom ów uczynić coraz lepszym i wygodniejszym i piękniejszym.

Cóżbyśmy powiedzieli o owym synu, któryby rzekł:

— Zwalę dom jak ruderę, bo wszystko w nim warte pogardy.

A ci, którzy chcą doprowadzić do tego, ażeby wszystko z przeszłości obalić i zdeptać, ci, którzy w przeszłości nie widzą nic ani dobrego ani godnego szacunku, są zupełnie podobni do owych, co to siebie chcą tylko mianować na bohaterów i swoje czoła chwały blaskiem ozłocić pragną.

Przeszłość narodu jest także skarbem i nie wolno nam nią pogardzać, ani z niej się naśmiewać. Przyszliśmy na gotowe drogi i wytykamy wady. Pomyślmy, czyli ci, którzy po nas przyjdą, zastaną wszystko bez błędu i bez winy.

Mickiewicz, gdy jako wygnaniec z kraju ojczystego musiał żyć we Francyi, tęsknił tak za Litwą, iż prosił, ażeby krewna, która jechać będzie z nad Niemna, wzięła trochę wody z tamtej rzeki i przywiozła ją na chrzest syna Mickiewicza.

Tak w żalu i smutku tęsknicy za Ojczyzną, chciał nasz śpiewak kroplą wody z Litwy poświęcić czoło dzieciny, ażeby czuło się zbratane z tem, co jest z kraju dalekiego, co wszakże drogiem sercu jego być powinno!...

A my — żyjąc wśród pól i wód ojczystych, nie umiemy ukochać ich, nie umiemy uszanować tych wspomnień, które snują się jak siecią pajęczą dokoła, nie znamy nawet często historyi naszych miast i wsi, nie wiemy, jakie zdarzenia dziejowe tu się odgrywały, jacy ludzie tu żyli, jakie czyny tu spełniano.

„Zapomnienie" przychodzi jako niszczyciel bezlitośny i zaciera w pamięci te obrazy, które przeszłość malowała.

„Zapomnienie" zwyczaje i obyczaje nasze strąca w pył, „zapomnienie" nasze pieśni, przypowieści, przysłowia zatraca, „zapomnienie" legendy i podania grzebie bezlitośnie, a tak marnowane skarby giną i — nie powrócą!...

Lecz oto gawęda nieco zadługa.

Może i nudna, mniej ciekawa jak opowieść o rycerzu, który zdobywał twierdzę i wroga odpędzał.

Wybaczcie!...

Tak się czasem myśl rozsnuje niby nić z wrzeciona i trudno ją przeciąć...

A tak czasem sercu żal za tymi skarbami, których mamy ogromnie, ogromnie wiele, a uszanować nie umiejąc — marnujemy...

Zmarnowane skarby nie wracają się...

Nie wrócą minione lata...

Nie wróci rok życia...

Zdrowie zmarnowane nie wróci...

I naród nie odzyska tych skarbów, które złe dzieci zmarnują...

Wybaczcie przydługiej gawędzie.

J. Strokowa.

POGAWĘDKA GOSPODARSKA.

Sierpień jest to miesiąc wielkiej pracy, teraz ciągną się dalej już w lipcu rozpoczęte żniwa. Każda dobra gospodyni powinna się postarać o ile może, ażeby żniwiarzom dostarczyć mogła mleka, maślanki, serwatki, ogórków kwaszonych na orzeźwienie przy ciężkiej pracy, w silne upały, jakie zazwyczaj o tym czasie bywają.

W drugiej połowie sierpnia trzeba już kwasić ogórki na zimowy użytek, są one wtedy najtrwalsze, najlepsze, bo jeszcze jędrne, zielone, nie mają rdzawych plam i twarde nie zamienią się w żaden nasiennik ani żółty ogórek.

Owoce letnie wszystkie są w całej dojrzałości, jabłka opadnięte lub otrzęsione przez burzę pilnie zbierać, robaczywe palić a zdrowe zużywać do kuchni, lub przerabiać na galaretki. Gruszki smażyć, marynować lub suszyć. Renglody i różne śliwki, orzechy świeże, melony, te, które już nie dostoją, zbierać do smażenia. Wiśnie czarne dopiero w sierpniu dobre na konfiturę i soki. W końcu sierpnia, lub na początku września należy wyrywać len, siany na początku maja.

Młodego drobiu pilnować przed spieką słoneczną i przed przemoknięciem tak w czasie słoty, jak i na rosie rano wczas. Kaczki i gęsi, jeżeli już pierze dojrzało i wylatuje, to lekko podskubać, pociągając lekko ręką po pierzu, aby ptaka niepotrzebnie nie męczyć i nie kaleczyć, lepiej nie robić tego odrazu ale codziennie po troszę w miarę, jak pierze dojrzewa, a kilka dni ptak bez męczarni będzie oswobodzony z dojrzałego pierza bez szkody tak dla gospodyni jak i dla ptaka. Wiadomem przecież jest, że barbarzyńskie podskubywanie ptaka, jak to niektórzy czynią, że aż do gołej prawie skóry podskubują, szkodzi bardzo płodności drobiu. Kaczki podskubywane w wyż opisany sposób znoszą do 150 jaj, zaś nasze kaczki znoszą zaledwie 60—70 jaj. Gęś dobrze żywiona i łagodnie podskubywana, znosi około 30 jaj, u nas zaś znoszą gęsi 8—10 a najwyżej 16 jaj; przytem jaja te są bardzo często słabo tylko, a nawet czasami całkiem nie zapłodnione. Przyczyny tego leżą w niewłaściwem podskubywaniu, wadliwem przezimowaniu jak również niedbałym chowie. Wiemy, że wiele małych niedokładności stanowi często jedną wielką wadę. Gospodynie chwytają z wielkiej oszczędności garstkę pierza, a tracą mendel jaj. Mamy jeszcze bardzo wiele takich gospodyń, a raczej mądrych sług, które po oskubaniu ptaka aż do skóry, po połamaniu lub po poprzekręcaniu mu nieraz skrzydeł i nóg, rzucają go potem do rzeki lub stawu w mniemaniu, że to mu dobrze zrobi, bo to go ochłodzi. Ptak cały silnie rozgrzany, naraz wrzucony do zimnej wody, może z niej wcale więcej nie wyjść.

W stajniach i oborach okna od południa zasłaniać staremi workami lub bardzo rzadką worowiną, aby słońce nie paliło a powietrze przechodziło. Zasłona taka uchroni nietylko od słońca ale i od natrętnych much. Stajnie powinno się przez lato 2—3 razy wybielić. Jeżeli jest wiele much, a jaskółki się nie gnieżdżą lub też jest ich za mało, aby muchy wyłapały (jedna jaskółka wyłapie do 800 much dziennie) i jeżeli muchy bydłu dokuczają i niepokoją go, to trzeba pozatykać w stajni gałązki z lepem. Ograć na blaszy w glinianem naczyniu w jednakowej ilości oleju w gorszym gatunku i kalafonii i w tej lepkiej masie maczać gałązki i zatykać je w stajni; a gdy je muchy obsiędą wtedy je spalić i zastąpić nowemi. Również dobry jest lep: $^1/_4$ oleju rzepakowego, $^2/_4$ kalafonii i $^1/_4$ gęstej terpentyny.

W ogrodzie utrzymywać największą czystość, plenić, podlewać, pilno w dnie skwarne motykować i okopywać warzywa kapustowe, strączkowe i korzeniowe. Kapusty i kalafiory podlewać gnojówką, niszczyć gąsienice na kapustach. U chrzanu i selerów wyłamywać po dwa okółki liści zewnętrznych a obnażywszy górną część korzeni, poobcinać boczne korzonki i napowrót ziemią przesypać; tak samo i u buraków można poułamywać trochę liści zewnętrznych. Kapustę brukselską obłamać do połowy głębia, a wierzchołek zostawia się aż do września. U cebuli poprzyginać szczypióry co można zrobić ręką ale lepiej jest deseczką, w miarę jak usychają szczypióry, wybierać cebulę i suszyć ją na słońcu, uważając, aby w dnie słotne cebuli nie wybierać, co prędko gnije. Obierać pomidory w miarę dojrzewania tak samo i fasole t. z. piechotę, jeżeli już większa część strączków dojrzeje, wyrywać z korzeniami, wiązać w pęki i suszyć pod okopem. Zaś fasolę strączkową czyli tyczkową, jak tylko okwitnie ponadrywać nieco z ziemi, aby strączki prędzej dojrzały.